NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop z przesyłką pocztową 2 Rsb 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7 Nr TEL 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 26 czerwca 1909. Nr. 26.

Ofiary sułtana.

Treść na str. 2.



Nr. 26. „Nowości Illustrowanych“ zawiera: Wycieczka do wodociągu. — Meeting krakowski. — Jeszcze o mankietnikach. — Trzęsienie ziemi w południowej Francyi. — Pogotowie ratunkowe w Zakopanem. — Francuz o Polsce. — Demonstracya młodzieży. — Przemyśl Słowackiemu. — Zgon najstarszego posła. — Wycieczka automobilistów. — Jubileusz zasłużonego pedagoga. — Zjazd koleżeński. i t. d. i t. d.

OD ADMINISTRACYI.

Z bieżącym numerem kończymy drugi kwartał. Wszystkich zatem naszych P. T. Prenumeratorów prosimy o łaskawe najrychlejsze nadesłanie prenumeraty na czas dalszy, a to celem uregulowania nakładu naszego pisma. Prenumeratorowie galicyjscy otrzymują w niniejszym numerze dołączony przekaz pocztowy, celem ułatwienia im przesyłki pieniędzy.

Prenumeratę z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego przesyłać należy wprost do Administracyi naszego pisma Kraków, Zacisze 7., a wynosi:

Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. 25 fen.
Do końca roku 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. już wraz z przesyłką pocztową.

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę wszystkie księgarnie tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.
Do końca roku 3 Rbs. 60 kop. — z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop.

Ofiary sułtana.

(Do illustracyi tytułowej).

Strącony niedawno z tronu sułtan turecki Abdul Hamid uchodził zawsze za istotę pozbawioną lepszych uczuć ludzkich, za tyrana krwiożerczego, który dla ratowania swojej osoby i swej godności nie wahałby się poświecić życia choćby dziesiątek i setek innych ludzi.

Ale mimo to wszystko nikt chyba nie przypuszczał, że Abdul Hamid jest zdolny do takich strasznych zbrodni, do takich wyrafinowanych okrucieństw, jakie dopiero przed kilku dniami zupełnie przypadkowo wyszły na jaw.

Oto w jednej z piwnic, ukrytych głęboko w podziemiach sułtańskiego pałacu, znaleziono mnóstwo trupów i szkieletów ludzkich. Dochodzenia, jakie celem wyjaśnienia tej tajemniczej sprawy przeprowadzono, wykazały, iż do piwnicy tej wtrącał Abdul Hamid jako do więzienia, podejrzane osobistości, wtrącał tych wszystkich, którzy wydali się niebezpiecznymi dla jego tronu i dla jego życia. W strasznej tej jaskini zostawiał on swych nieprzyjaciół na ofiarę rozpaczy i mąk najokropniejszych, pozbawiając ich światła, wody i jedzenia, tak że po kilku dniach najstraszniejszych mąk ginęli.

Ostatnie lata a właściwie ostatnie miesiące panowania Abdul Hamida były bardzo burzliwe. Tchórzliwy sułtan zrozumiał, że dni jego rządów są policzone, że będzie musiał ustąpić. Łudził się jednak nadzieją, że przez usunięcie wybitniejszycb przodowników ruchu młodotureckiego uda mu się tę straszną dla siebie chwilę opóźnić, odwlec a może nawet tron dla swej osoby i swych potomków ocalić. Więc ginęli w sposób tajemniczy, po cichu, jeden za drugim ci wszyscy, którzy byli w pałacu sułtańskim, a których wierność była wątpliwa. Znikali dygnitarze więksi i mniejsi, a nikt nie wiedział, gdzie i kiedy się podzieli. Dopiero teraz wyjaśniła się straszna tajemnica, dopiero teraz znaleziono zwłoki ofiar dzikiego okrucieństwa sułtana.

Widok, jaki przedstawiała piwnica w pałacu, ten wielki grób żywych ludzi, był wprost straszny. Szkielety i gnijące zwłoki leżały gęsto obok siebie w pozycyi, dowodzącej jak straszne męki i cierpienia przechodzili ci ludzie, których tam pozostawiono.

* * *

Na rycinie naszej przedstawiona jest scena, gdy do piwnicy owej weszło kilku ludzi i zupełnie przypadkowo odkryli tajemnicę rządów Abdul Hamida.

Jeszcze o mankietnikach.

Dziś została już podniesiona zasłona, która przez pewien czas okrywała wstydliwie machinacye „maryawitów", w Kongresówce, zwanych pospolicie



Jeszcze o „mankietnikach": „Mateczk" Kozłowska.

„mankietnikami" *alias* „Kozłowitami", dziś wiemy, co należy sądzić o ludziach, którzy tę sektę stworzyli, wyzyskując w ohydny sposób uczucia religijne, obałamuconych przez siebie prostaczków i wiemy dokąd prowadzi prostą drogą ich zbrodnicza działalność, nietylko pod względem czysto religijnym.

W tej tak przykrej dla nas sprawie, *Nowości Illustrowane* z obowiązku publicystycznego zabierały głos wielokrotnie i podawały interesujące szczegóły, illustrowane odpowiedniemi rycinami. I teraz znów mieliśmy sposobność zasięgnięcia z bardzo dobrego źródła pewnej ilości informacyi, odnoszących



Wycieczka do wodociągu: Uczestnicy wycieczki na pokładzie parostatku „Wawel" w drodze ku Bielanom.

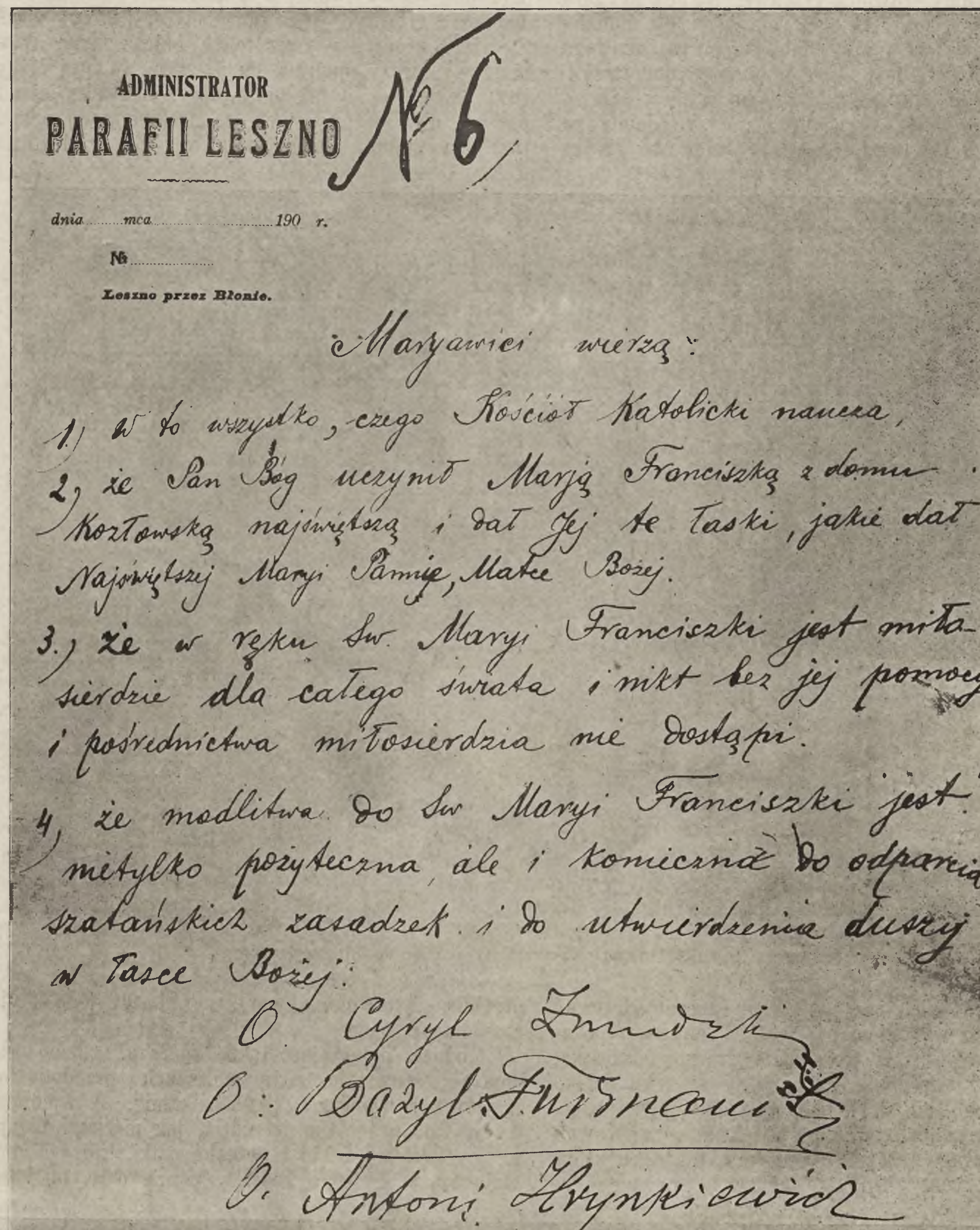
się do „mankietników“, którymi pospieszamy się podzielić z Czytelnikami.

Przedewszystkiem informator nasz zaznaczył, że liczba „mankietników“ wbrew twierdzeniu ich prowodyrów — nie zwiększa się, lecz maleje i wynosi obecnie w Królestwie Polskiem, co najwyżej, 30.000 osobników. Dalej zaś podniósł, iż liczba księży-apostołów także zmalała — wielu z nich bowiem na czas się opamiętało — tak, że jest ich teraz 33 tylko. Wszelkie starania tych odszczepieńców, aby jeden z nich otrzymał święcenia biskupie od jednego z biskupów prawosławnych, lub starokatolickich, pozostały dotąd bez skutku.



Jeszcze o „mankietnikach“: Eks-ksiądz Cyryl Żmudzki.

Gdyby zaś kto posiadał jakie wątpliwości, co do strony religijnej tej herezyi, to rozproszy je podane obok fotograficzne zdjęcie z ich wyznania wiary, zaopatrzone w podpisy trzech wybitnych menerów mankietniczych, eks-księży: Żmudzkiego, Furmanika i Hrynkiewicza. Zawarte w niem bluźnierstwa uderzają swą naiwnością i najwidoczniej obliczone są na niesłychanie niski poziom umysłowy wyznawców nowej „wiary“, którym się imputuje możność uznania świętości „mateczki“ Kozłowskiej. Jest coś zaiste potwornego w tem oszustwie, coś, co wydaje się nieprawdopodobne, aby mogło być głoszone w XX-ym wieku.



ADMINISTRATOR
PARAFII LESZNO № 6

dnia ...... mca ...... 190 r.

№ ......

Leszno przez Błonie.

Maryawici wierzą:

1) w to wszystko, czego Kościół Katolicki naucza,
2) że Pan Bóg uczynił Maryą Franciszkę z domu Kozłowską najświętszą i dał Jej te łaski, jakie dał Najświętszej Maryi Pannie, Matce Bożej.
3.) że w ręku Św. Maryi Franciszki jest miłosierdzie dla całego świata i nikt bez jej pomocy i pośrednictwa miłosierdzia nie dostąpi.
4, że modlitwa do Św Maryi Franciszki jest nietylko pożyteczna, ale i konieczna do odparcia szatańskich zasadzek i do utwierdzenia duszy w łasce Bożej.

O. Cyryl Żmudzki
O. Bazyl Furmanik
O. Antoni Hrynkiewicz

Jeszcze o „mankietnikach“: Wyznanie wiary odszczepieńców.



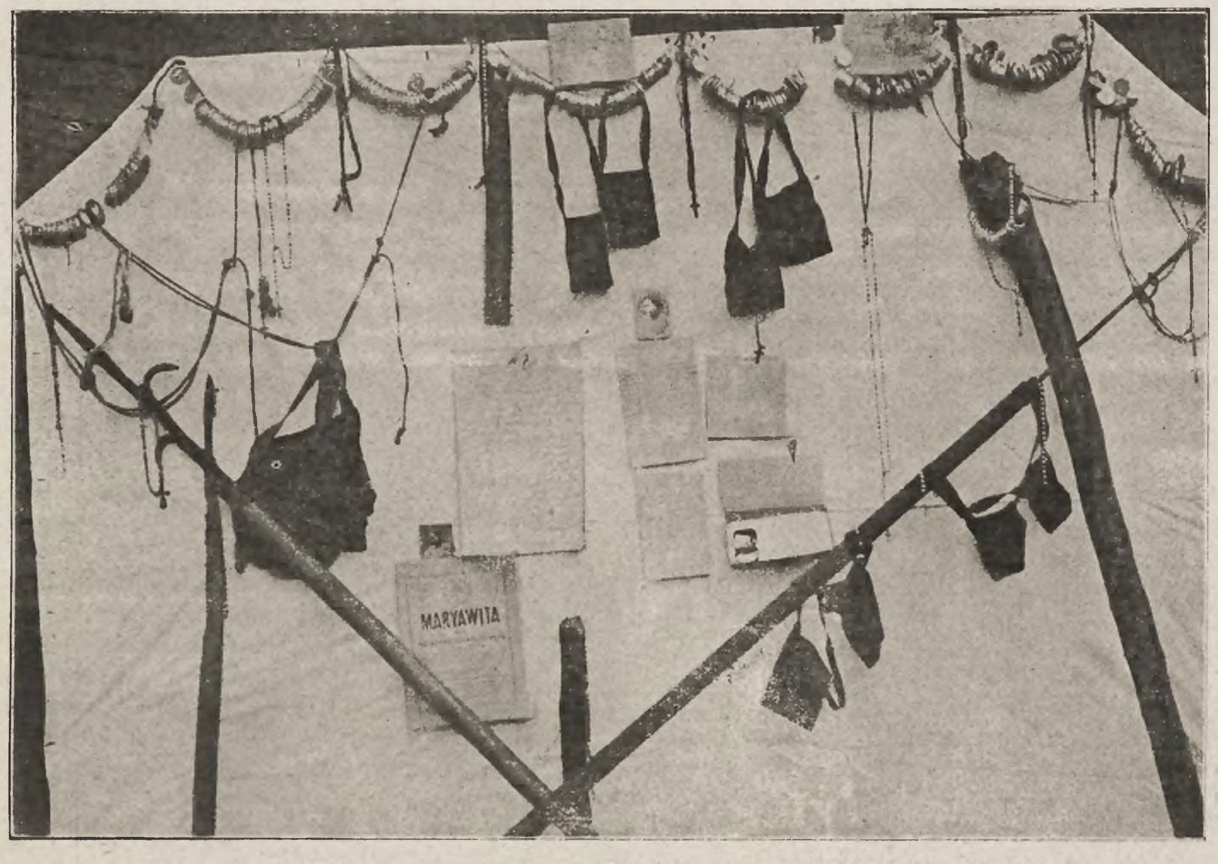
Wycieczka do wodociągu: Grono członków rad miejskich Krakowa i Podgórza z posłem prof. Sikorskim (X) przed halą maszyn zakładu wodociągowego. 1. Prezydent dr Leo; 2. Burmistrz Maryewski; 3. Wiceprezydent Sare.

Umieszczamy również ciekawą, autentyczną podobiznę „mateczki“, której rola w ruchu mankietniczym znana jest powszechnie. W początkach tego ruchu sądzono, że jest ona, pomimo braku właściwej inteligencyi, obdarzona jakimś nadzwyczajnym sprytem i siłą demoniczną, przez które działa na zbzikowanych eks-księży i tych prostaczków, którzy garnęli się do nich pod wpływem spaczonych uczuć religijnych o wysokiem napięciu. Tymczasem pokazało się, że jest ona wprawdzie zręczną oszustką, lecz że jest właściwie narzędziem w ręku daleko zręczniejszego od siebie, pełnego ambicyi a pozbawionego wszelkich skrupułów eks-księdza Kowalskiego, którego portret podajemy także, a który jako rzeczywisty *spiritus movens* gra pierwsze skrzypce wśród swoich i „mateczki“ zwolenników. Jednym z głównych jego pomocników jest eks-ksiądz Żmudzki, którego portret także umieszczamy. Wreszcie wystarczy spojrzeć na portret „świętej Maryi Franciszki“ *(sic!)*, jak nazywają Kozłowską jej adherenci, aby się przekonać, że urokiem swej pospolitej fizyognomii nie może na nikogo działać, nie przebija się na niej nawet spryt, który jednak niezawodnie posiada.

Godnem uwagi jest także *tableau*, gdzie oglądamy zestawienie najrozmaitszych przedmiotów, mających związek z „mankietnikami“. A więc widzimy tam przeróżne narzędzia, jak maczugi nabijane gwoździami, osęki i potężne pałki, których używają oni w walce o kościoły z prawdziwymi katolikami, dalej szkaplerze, jakie rozdają współwyznawcom, a których wielkość zależy od złożonego datku specyalne koronki, medaliki i wydawnictwa drukowane, a także pudełko z obrazkami, których łykanie zalecają, oraz „komunikantami“ w proszku, składającymi się, jak wykazał rozbiór chemiczny, z opium pomieszanego z mąką, jakie wydają swoim wiernym do domu.

W niniejszym numerze pomieszczamy także portret księdza Eustachego Krocina, który był bez mała 2½ lat administratorem parafii w Lesznie a który ucierpieć musiał niesłychanie wiele, broniąc kościoła katolickiego w tem gnieździe mankietnictwa, przeciw zakusom zwolenników „św. Maryi Franciszki“ i eks-księdza Kowalsk,ego.

Nie wątpimy, że illustracye nasze, choć odnoszą się do sprawy dziś mniej głośnej, zainteresują szerokie koła naszych Czytelników.



Jeszcze o mankietnikach: Przedmioty należąc do odszczepieńców.



Jeszcze o mankietnikach: Eks-ksiądz Jan Kowalski



Wycieczka do Wodociągu: Kotłownia obok hali maszyn zakładu wodociągowego w Bielanach.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

26 (Ciąg dalszy).

— Czy pan markiz pragnie czego? — zapytała przestraszona, widząc zachodzącą na jego twarzy gwałtowną zmianę.

Pan Morailles starał się to zrozumieć. Przecież Maud miała go oczekiwać o piątej, tymczasem zastał dom zamknięty, obwarowany, jak jaką twierdzę.

— Miss Maud? — zapytał ostrym głosem.

— To pan markiz nie wie? Panna Kiss pojechała.

— Pojechała? Kiedy? Dokąd?

— Dokąd, tego mi nie powiedziała. Pojechała zaś o drugiej popołudniu.

— Czy mówiła, że wróci?

— Nic nie wspominała o powrocie. Zabrała z sobą kufer i walizę.

— Klucze! — zażądał stanowczo.

Straszne podejrzenie ogarnęło go. Maud pojechała, Maud jest razem z Hartenbergem. Maud zakpiła z niego... Ach, łajdaczka!

— Jakie klucze, proszę pana?

— Od domu.

— Ale ja ich nie mam. Panienka sama pozapuszczała zaluzye, pozamykała drzwi i klucze zabrała z sobą.

— Czy wyszła sama?

— Z panią Harden.

— Aha, z mistress Harden?

I Morailles zacisnął pięście nie mogąc zapanować nad sobą. A więc obie zmówiły się przeciw niemu. Lecz po co ten wyjazd? Nic nie mógł pojąć.

— Proszę nie kłamać, klucze!

— Ależ ja panu markizowi przysięgam, że nie mam.

— To po co pani tutaj jest.

— Miałam uporządkować szopę po ogrodniku, lecz panienka zabrała wszystkie klucze.

— Lecz gdzie jest służba? Powrócą? Dostali rozporządzenia?

— Nie wiem czy powrócą, bo panienka zapłaciła kucharce, lokajowi i pokojówce. Powiedziała im, że jedzie w podróż. Wyszli wcześniej, bo panienka sama chciała pozamykać wszystkie drzwi.

— Pani nic więcej nie wie? Ani dokąd pojechała miss Maud, ani kiedy wróci?

Wyjął z kieszeni złotą monetę. Posługaczka cofnęła się obrażona.

— Mówię tylko to, co wiem, nic więcej nie mogę powiedzieć, nawet za pieniądze.

— Ja nie chcę pani podkupywać, proszę, to dla dzieci i wsunął jej do ręki dwadzieścia franków.

Spojrzał jeszcze raz na dom, obrócił się i wyszedł, mrucząc do siebie.

— Teraz zajmijmy się Aurorą. Maud nic nie straci na czekaniu.

XX.

NINETKA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.

Germaine-Ninetka, była pani de Pre-Hautre, obecnie nielegalna towarzyszka kawalera Noscogriffa, rozwiedziona małżonka pana Mitre, oskarżona o wiarołomstwo, stwierdzone przez schwytanie jej *in flagranti*, przypinała kapelusz przed lustrem, by udać się do swego adwokata.

— Nie podoba mi się bardzo, gdy chodzisz do tego małego Rascoila — oznajmił z napuszoną miną Nascogriffo, fryzując sobie wąsy.

— Dlaczegóż to, Vanni? — zapytała niecierpliwie Ninetka.

Szpilka nie wchodziła dobrze do kapelusza, a przytem nieznośny humor przyjaciela zaczynał działać jej na nerwy.

— Podejrzewam, że ten szczekacz sądowy, ten kauzyperda przystawia się do ciebie.

— I co więcej? A czyż to ja nie jestem dosyć ładna? — zapytała pewnym siebie tonem, stając wyzywająco przed nim.

— Nie pozwalam, by na ciebie spoglądano w ten sposób. A wczoraj ten oficer w restauracyi... *Per Bacco!* Nie rozumiem, że mu nie rzuciłem w twarz talerza z makaronem. Zbyt kokietujesz, Ninetko!

— A to pała!... Zaczynasz mnie nudzić Nasco swoją zazdrością. Dawniej byłeś weselszy.

— Humor mój popsuł się razem z żołądkiem — odpowiedział mrukliwie. — Mam powody patrzeć na wszystko czarno.

Mówił prawdę. Zaczął grać i bardzo nieszczęśliwie, wskutek czego zmuszony był chwytać się różnych kombinacyi finansowych, sprzedać oba samochody, które wziął na wypłat, jak również i umeblowanie. Wczoraj zastawił w lombardzie biżuteryę.

— Mój Vanni, sprawy pieniężne nigdy mnie nie obchodzą... Czy ja ci wymawiałam, żeś przegrał za jeden raz trzydzieści tysięcy franków? Nie nudź mnie swoimi interesami! Twoja największa zasługa jest to, że jesteś Nasco śmieszny, a Nasco smutny wcale mi się nie podoba.

— Mów, co ci się podoba, ale dla mnie nie jest to przyjemną rzeczą włóczyć się po sądach dla małej, chciałem powiedzieć dla wielkiej przyjemności, żem z tobą popełnił *peccato d'amore*.

Ninetka wybuchła śmiechem.

— Jakto, to ty nie uważasz, że ten twój *peccato d'amore* z Ninetką, wynagradza ci wszelkie kłopoty, jakie sprawia nam mój były mąż.

Nascogriffo zupełnie nie w humorze tego dnia, odpowiedział:

— Nic, nie uważam.

— Jesteś niezwykle uprzejmy, mój miły.

— Nie uważam, bo to niesłuszne, bym ja niewinny płacił za winnego. Kto był twym kochankiem? Ten łajdak Pre-Hautre. Z kim winnaś być przychwycona? Z nim, ale ten tchórz uciekł. A kto powinien stanąć w sądzie? On, Pre-Hautre, ta *mala bestia*.

I Nascogriffo ze złości plunął na lustro, co jeszcze więcej rozśmieszyło Ninetkę.

— Toś ty taki! To ty go nie żałujesz, że on biedny siedzi w Brukseli, pisząc do mnie błagalne listy?

— On jest bez honoru! Na jego miejscu, ja byłbym wściekły i poniżony, gdybym nie był na mojem miejscu, to znaczy Nascogriffa.

— Czy to jemu sprawia przyjemność, że ja go zdradzam razem z tobą? A on taki dobry, że mi to przebacza i prosi, bym przyjechała.

— To on jest świnia! — zawołał Nascogriffo. — A ty go jeszcze żałujesz, masz czułości dla niego? Dlaczego w takim razie nie jedziesz do niego?

— Dlatego, że mam go już dosyć, a wkrótce będzie to samo i z tobą, jeżeli nie zmądrzejesz.

— Nie bój się, już zmądrzeję. Czuję, że paryskie powietrze szkodzi memu zdrowiu.

— Co takiego?

— Jestem słaby — odrzekł Nascogriffo, gładząc się ręką po piersi i żołądku. Czuję się źle. Nie mogę pozostawać w takim klimacie.

— Co ci znowu przychodzi do głowy?

— Ciągle mi się przypomina moja biedna *mamme*, moja rodzina, przyjaciele, widzę kolor morza i Wezuwiusz i *Napoli* piękne i całą moją ojczyznę, gdzie niebo jest jasne i słońce gorące. Wyciągnął naprzód rękę z namaszczeniem i dodał.

— Nascogriffo nie złoży swych kości w obcej ziemi.

— Jakto — zawołała zdziwiona Ninetka — to ty chcesz mnie puścić?

— Ja...

— Zaledwie jesteśmy razem! Zaledwie zdążyłam zdradzić najlepszego przyjaciela, który mnie kocha! I to dla twoich ładnych oczu, jak ziarnka pieprzu, dla twojej cery podobnej do piernika! Popatrzcie tylko państwo na tego peleryniarza! Także towarzysz dla takiej kobiety, jak ja! I ty chcesz mnie puścić! Odpłacę ci się!

— Ninetko, ja jeszcze nie...

— O, dosyć już tych makaronów!... Nie złapiesz mnie na słowa!... A zresztą już wszystko przegrałeś, coś przywiózł z sobą. Teraz będziesz miał tylko na głowie wierzycieli. Jedź czemprędzej! Przyjemnej podróży! A czyś patrzył na rozkład jazdy?

— Ależ posłuchaj mnie...

— Jeszcze nie pojechałeś?

I Ninetka rozzłoszczona wsadziła mu na głowę kapelusz, wpakowała mu pod pachę palto, rękawiczki, laskę.

Nascogriffo rzucił to wszystko na ziemię, złapał się za głowę obiema rękami i zaczął tupać nogami po dywanie, wyrażając swoją rozpacz.

— *Ma, Santa Madonna*, posłuchajże! nie powiedziałem, że ciebie nie wezmę z sobą.

— Mnie? — zawołała Ninetka, roztwierając szeroko oczy. Chyba jeszcze nie przyjrzałeś mi się? Nie, tyś to myślał... Oh, Nasco, jakiś ty głupi!... Ja i ty razem, naprawdę?..- No, już dosyć! Spiesz się na pociąg, bo się spóźnisz. Pisz do mnie na Wezuwiusz!

I biorąc parasolkę, dodała:

— Nie czekaj na mnie ze śniadaniem, ani na obiad. Ani na noc. Ani na jutro, ani pojutrze, ani nigdy. Bądź zdrów Nasco, niech cię nie boli żołądek!

— Dokąd ty idziesz? — rzucił się ku niej. Ty nie wyjdziesz, ja cię zabiję i siebie zabiję!

— Skorupą od ostrygi i kieliszkiem od szampańskiego!

— Kiedy mówisz już tak stanowczo, daj swemu Nascogriffo *ultimo baccio*.

— Ręce na dół! Po co cię całować, gdy się rozstajemy.

— Daj mi przynajmniej o sobie wiadomość.

— Licz na to!

— Ja będę cię kochał zawsze.

— Przyjemnych marzeń. Trzymaj się ciepło!

— Ninetko, ostatnie spojrzenie!

— Dobrze mój kotku!... Przyszlę potem po swoje rzeczy. A teraz masz moją rękę na pożegnanie, jeżeli ci to sprawia przyjemność.

I pozostawiając Nascogriffa zmieszanego, wyszła spokojnie. Nie zastanawiała się nad sobą. Może jeszcze liczyć na siebie, zwłaszcza, że ma do pomocy Amelię. W przeciągu kwadransa znalazła się u swej przyjaciółki.

— Ach, moja droga, jak to dobrze, żeś wreszcie porzuciła tego waryata! — zawołała Amelia, gdy jej Ninetka opowiedziała o pożegnaniu z kawalerem neapolitańskim. — Już był czas; za bardzo afiszowałaś się z nim. Ale ten twój mąż nie daje ci spokoju. I za co tak się mści?

— Z powodu córki, żebym już jej nie widziała. Chce separacyę zamienić w rozwód i to, wyobraź sobie, co on mówi... z powodu mojej niecnoty.

— O biedaczko! Żałuję cię. A to wszystko przez tego waryata. U mnie nic podobnego nie zdarza się. Gdy przyjdzie komisarz, zaczynam z nim rozmawiać, parlamentować, a gdy się zaczyna gniewać, wtedy już wszystko gotowe. Jakiś pan ogląda illustracye w buduarze, przecież mogę przyjmować kogo chcę, a pani przymierza kapelusze w drugim końcu apartamentu. I komisarz nic zrobić nie może, tylko przeprasza, kłania się i wychodzi... Pozostajesz w Paryżu?

— Dlaczego o to pytasz?

— Czy przypominasz sobie w Monte-Carlo tego starego lorda, który był z dwiema damami, jedną młodą i drugą starszą?

— Nie bardzo.

— Otóż jest to lord Plumby. Ma całe ulice w Londynie, a w Yorkshire lasy i posiadłości, jak całe prowincye. Zwrócił na ciebie uwagę. Podobasz mu się.

— Czuję się tem zaszczycona.

— O, nie śmiej się. Niezwykle rozrzutny jest dla kobiet, które kocha. Dla tej małej, która była wtedy w restauracyi, kupił pałac wspaniały...

— A już z nią zerwał?...

— Bo ją zastał w objęciach swego jockeja.

— Oh! I co powiedział?

— Nic nie powiedział. Wyrzucił jockeja przez okno.

— A ją?

— Posłał ją za jockejem.

— Zabili się?

— Nie, padli na słomę koło stajni. I teraz lord szuka kogo innego.

— I myśli o mnie?

— Więcej jeszcze myśli o tobie twoja Amelia.

— Kiedy twój Anglik przestrasza mnie. Za gwałtowny jak dla mnie.

— Uspokoisz go, ułagodzisz...

— Nie. A zresztą on stary. Tyś mi wspominała o jakimś de la Ran... de la Blan...

— De la Glandiere. Ach, już późno, Ninetko. Zajęty. Ale pomyśl o lordzie. Jakie stanowisko ci stworzy!

— Nie, nie jest w mym guście.

— Poszukam ci kogo innego, trudno jednak lepszego znaleść. W każdym razie bądź spokojna.

— Dziękuję ci, mój grubasku. Spieszę się do adwokata. Do widzenia.

Wkrótce znalazła się w poczekalni swego adwokata. Nie czekała długo. Mecenas Rascoil przyjął ją zaraz, pragnąc okazać swej klientce, jak bardzo interesuje się nią.

— Pani popsuła moją sprawę tą historyą z dzieckiem...

— Chciałam odebrać swoją córkę!

— Dobrze, ale mąż właśnie na to kładzie największy nacisk. Jest to uparty kozioł. A czy chce pani iść do więzienia?

— Jakto do więzienia?

— Tak, osoba schwytana na gorącym uczynku może być skazana na więzienie. W dawnych czasach jeszcze gorzej karano za wiarołomstwo, wieszano, smalono, chowano żywcem, topiono, piętnowano...

— Ach, co za straszna kara! — wyszeptała Ninetka przerażona tem wszystkiem.

— To było w dawnych czasach, teraz łagodniej się karze, więzieniem lub grzywną.

— Och, tylko nie więzienie — zawołała błagalnie, jakby to naznaczał adwokat.

— Zależy to od sędziów. Niech się pani uspokoi. W rzadkich tylko wypadkach bywa taki wyrok.

— Ach! — odetchnęła Ninetka.

— Ale jednak zdarza się to.

— Ach! — westchnęła boleśnie.

— Tak, zwłaszcza dla osób, które miały przeszłość dość urozmaiconą. Adwokat pana Mitre będzie mógł ich sporo wyliczyć.

— Niech pan nie mówi o więzieniu, to straszne — prosiła Ninetka.

— Dobrze już, w każdym razie na grzywnę będzie pani skazana.

— Jak? na pieniądze? Ile? Pięć tysięcy, dziesięć tysięcy? ależ ja ich nie mam — i zmrużyła oczy, jak dzieci, gdy chcą płakać.

— Ależ, nie tak wiele, kochana pani. Najwięcej pięćdziesiąt franków.

— Oo, to ja mogę zaraz je zapłacić — zawołała radośnie, a oczy jej aż się zaśmiały.

— Pewien sędzia skazał nawet raz tylko na dwadzieścia susów. Dobra cena! Wiarołomstwo za franka!

— Prawie za darmo! — roześmiała się wesoła już Ninetka.

— Grzywna pewna, więzienie mało prawdopodobne, ale pani powinna zastanowić się nad całą sprawą. Pan Mitre żąda, by pani zrzekła się do córki wszelkich praw: wtedy odstąpi od skargi, która — muszę to powiedzieć — wywoła skandal, szkodliwy tak dla pani jak i dla dziecka.

— Zrzec się Gizeli! Nigdy nie widzieć Gizeli!

— Zdaje mi się, że pani córka nazywa się Made, a raczej Magdalena.

— Tak, ale ja i pan de Pre-Hautre nazywamy ją Gizelą, to ładniejsze imię.

— Sądziłem, że ten pan nie był Pre Hautre, lecz jakoś na Griffo, Nascogriffo, z którym panią zastano na...

— Tak, tak — potwierdziła zawstydzona — w każdym razie moja córka jest moją córką...

— Bez wątpienia! Ale niebezpieczeństwo kary więzienia zapewne nie jest pani miłe. Jeżeli pan Mitre zgodzi się na odstąpienie od skargi, to lepiej przystać na jego warunki.

Wahała się. Nie zależało jej na córce, ale zrzekając się praw do niej, nie będzie już mogła zrobić na złość swemu mężowi, przez widywanie się z nią. Odpowiedziała więc:

— Chcę się jeszcze namyśleć.

— Dobrze, ale niech pani spieszy się z odpowiedzią, bo czas nagli.

XXI.

OSTATNI ETAP NA KALWARYĘ.

Pan Mitre od chwili powrotu do domu po tej bolesnej scenie, gdy razem z komisarzem stwierdził na fakcie wiarołomstwo żony, nie opuścił już swego łóżka.

Siły opuszczały go szybko. Gorączka zjadała organizm. Litość brała patrzeć na niego, jak leżał z z zapadniętemi w dół oczami, wynędzniałymi policzkami, pokrytymi żółtą, pomarszczoną skórą, z czołem spoconem, ze zeschniętemi wargami, któremi poruszał ciągle, jakby mówił z sobą. Na ustach miał ciągle imię córki, wymawiane z jakąś trwogą o jej los.

Otwarły się po cichu drzwi i weszła Gertruda, niosąc na tacy szklankę.

— Niech pan napije się mleka gorącego, to zaraz pana rozgrzeje i dobrze zrobi. Niech pan poczeka, poprawię poduszki, wygodniej będzie pić.

Wzięła chorego pod pachy i posadziła, opierając o poduszki.

— Proszę, jest gorące i słodkie, za pół godziny przyniosę znowu.

— Made jeszcze nie wróciła?

— Przecież zaraz przyszłaby pana pocałować. Niech pan się nie boi. Razem z babcią i panią Seymour w samochodzie, to nic się jej nie zdarzy. Już pan może być spokojny. W domu to ja także dobrze czuwam.

— Dziękuję ci z całego serca, jesteś dzielną, moja Gertrudo.

— Nie, proszę pana, jestem zwyczajna. Mnie kusiło, ale już tej starej nie chciałam widzieć, a nawet sklepiczarce nagadałam, że niema wstydu, kiedy do tego rękę przykłada. Nawet posprzeczałyśmy się. Już nie rozmawiamy z sobą.

— Masz szlachetne serce, nigdy nie zapomnę, jak uczciwie z nami postępujesz.

— Proszę pana, jakże jabym miała nie kochać pana. Przecież zaraz widać, że państwo to tacy czyści, szczerzy ludzie, jakby z parafii Boskiej, a panienka, to już taka milutka, że aż łapie za serce. Teraz już niech pan nic nie myśli, tylko odpocznie — i ułożywszy pana Mitre, wyszła.

Przez ten czas pani Mitre, która z powodu ciągle słabnącego wzroku wychodziła coraz rzadziej, wyjechała samochodem z panią Seymour i Made na spacer do Lasku Bulońskiego. Nie była to pierwsza ich przejażdżka. Szlachetna Amerykanka zabierała je często do swego samochodu, by Made, którą szczerze polubiła i zaopiekowała się, użyła trochę rozrywki. W domu przy chorym ojcu i babce wychowanej w dawnych pojęciach o posłuszeństwie, dziecko mizerniało i więdło.



Westchnął z ulgą, a z oczu popłynęły mu łzy.

Samochód zatrzymał się przed ogrodem zoologicznym, by Made mogła trochę pobiegać. Starsze panie poszły wolno za nią.

— Pani wydaje się być zmęczoną — odezwała się Amerykanka — proszę oprzeć się na mojem ramieniu. Jestem mocna.

— Istotnie, czuję się ociężałą. Lecz czy myśmy nie zbyt długo już jeździły. Noc zapada tak prędko!

Pani Seymour spojrzała na nią zdziwiona.

— Noc? Daleko jeszcze do niej... Mamy bardzo ładny czas.

— To dziwne — rzekła pani Mitre ze wzruszeniem w głosie — zdaje mi się, że już ciemnieje.

— Usiądźmy na chwilę, to pewnie ze zmęczenia — odpowiedziała zaniepokojona pani Seymour.

Spostrzegła, że pani Mitre nie widzi krzesła, które jej podaje, że błądzi ręką po omacku.

— Czy wszyscy już wyszli, że ogród jest taki pusty? — zapytała ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

— Ależ nie, babciu, jest dużo ludzi. To babcia nie widzi antylopy, o tam! A tutaj słoń z dziećmi na grzbiecie.

— Nic nie widzę, nic nie widzę — powtórzyła głosem pełnym przerażenia.

Pani Seymour spoglądała na nią z litością. Wiedziała o jej chorobie oczu i czem to groziło.

— To już noc.. noc dla mnie... — szeptała, siedząc sztywno. — Moje przeczucia... Ociemniałam!...

— Babuniu! — zawołała z płaczem Maud — niech babunia nie mówi tego.

— Nie, nie, to jest chwilowe osłabienie wzroku. Jutro przejdziemy do okulisty. On to potwierdzi — uspokajała pani Seymour.

Pani Mitre podziękowała jej za tę pociechę uściskiem dłoni i uśmiechem, który może poraz pierwszy oświecił dobrocią jej surową twarz.

— Zdaje mi się, że już nic on nie będzie miał do roboty. Gdybym miała kataraktę, byłaby możliwa operacya. Lecz ja byłam zagrożona paraliżem nerwu ocznego i dlatego już nigdy nie ujrzę światła.

— Niech pani nie poddaje się tym myślom; ja także miałam podobne obawy, a na drugi dzień wszystko przeszło. Chce pani już wrócić?

Smutny był powrót. Pani Seymour musiała ją prowadzić pod rękę. Made łzy płynęły z oczu. Na progu mieszkania odezwała się pani Mitre.

— Chiałabym, by Edgard nic nie wiedział. I tak dowie się za wcześnie... Dosyć on ma własnych zmartwień.

— Wprowadzę panią do pokoju, a wieczorem przyjdę odwiedzić znowu.

Gdy weszły, usłyszały jęczący głos chorego i odpowiedź Gertrudy:

— Tak, to panie wróciły i panienka.

Wyszła z pokoju.

— Niech panienka idzie ucałować swego tatusia, bardzo tęskni.

Pani Mitre odezwała się po cichu do pani Seymour:

— Niech mnie pani poprowadzi, chcę usłyszeć swego syna, kiedy nie mogę na niego patrzeć.

Weszła i pani Seymour.

— Jak się drogi pan czuje?

— Nie dobrze... Dzień dobry mamo, jakie ładne kolory ma Made. Jak wy ją psujecie! I uśmiechnął się, nie spostrzegając w zmroku wyrazu twarzy swej matki.

— Tak, w Lasku było bardzo ładnie — odpowiedziała pani Mitre; Made wesoło bawiła się. Chcę zdjąć kapelusz, czy pani idzie? wyszły obie.

Wieczorem pan Mitre ujrzał znowu przy swojem łóżku panią Seymour. Obecność ta zadziwiła go i zaniepokoiła. Wzięła go za rękę.

— Mój drogi panie, wiem, że z odwagą znosi pan wszystkie smutki losu. Lepiej przygotować pana zawczasu do nowego zmartwienia.

Ręka jego zadrżała... Wzruszona dodała szybko:

— Chodzi o pańską matkę. Niech się pan nie niepokoi.. Lepiej jednak, żeby pan wiedział, choć chciała ukryć to.

I w kilku słowach powiadomiła go o ociemnieniu matki, budząc zaraz nadzieję, że jutro najsławniejszy okulista może co zaradzi.

— Moja biedna matka — szeptał.

— Widziałem zbliżające się to nieszczęście. Niech mnie pani nie łudzi iluzyami. Wiem, że jest to nieuleczalne... Biedna matka!

— Odwagi, panie.

— Ach, odwagi, gdy tracę ostatnią opiekę dla Made... Niewidoma... Jak może teraz czuwać nad Made! Ja sam nic już nie mogę... Córka moja... co się z nią stanie?

— Ja pozostaję — odezwała się pani Seymour.

Spojrzał na nią, jak na swe zbawienie.

— Tak, ja pozostaję i nie opuszczę tego dziecka. Obronię ją przed matką niegodną. W razie potrzeby uwiozę ją, adoptuję moralnie, uczynię ją swoją córką, swoją spadkobierczynią.

Westchnął z ulgą, a z oczu popłynęły mu łzy.

— Pani to uczyni!... Oh, mogę już umierać.

— Niech pan o tem nie wspomina. Wyleczy się pan i długo jeszcze cieszyć się będzie swą córką. Jeżeli myśl ta może panu dodać sił, powtórzę, że będę dla niej matką, że uczynię z niej uczciwą kobietę.

— Dziękuję, dziękuję... Tak, ja ufam pani... Moja matka już nic nie może w swem nieszczęściu. Lecz pani tak dobra... w ręce pani oddaję swój najdroższy skarb... Niech pani błogosławioną będzie!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon najstarszego posła.

Z pośród posłów na sejm galicyjski ubył w ubiegłym tygodniu najstarszy wiekiem, a i jeden z najbardziej zasłużonych, bł. p. dr. Fruchtman, poseł miasta Stryja.



Zgon najstarszego posła: Bł. p. dr. Filip Fruchtman.

Do sejmu wszedł on jeszcze w r. 1873 i od tego czasu bez przerwy, a więc przez 36 lat mandat miasta Stryja piastował. Z przekonań szczery demokrata, pracował przeważnie w komisyi administracyjnej i gminnej, ujmując się z wielką siłą i energią za interesami miast. Położył też w tym kierunku ogromne, niespożyte wprost zasługi, zdobywając wielki szacunek w całej Izbie oraz wśród swoich wyborców.

Nie podobna zliczyć i wymienić wniosków i uchwał, powziętych przez sejm galicyjski z inicyatywy posła Fruchtmana, gdyż działalność tego posła była nadzwyczaj intenzywna i produktywna. Nie było sprawy ważniejszej, dotyczącej interesu miast, w którejby bł. p. dr. Fruchtman nie zabierał głosu, a prawie zawsze skutecznie. Bo choć nie był obdarzony błyskotliwą wymową, umiał jednak przekonywać, przemawiać do rozumu i swe postulaty przeprowadzać.

Cechowała go zawsze wielka ruchliwość i pracowitość, a równocześnie nadzwyczajna skromność. Osoby swej nigdy nie wysuwał, za godnościami się nie ubiegał, zadowalał się stanowiskiem cichego, ale gorliwego pracownika.

Zmarł po długiej chorobie, ku wielkiemu i szczeremu żalowi tych wszystkich, którzy w ciągu długiego jego życia mieli sposobność bliżej go poznać.

Cześć jego pamięci!

Wycieczka automobilistów.

Grono automobilistów niemieckich, z księciem Henrykiem pruskim, bratem cesarza Wilhelma II. na czele, urządziło przed kilkunastu dniami wielką wycieczkę automobilami z Berlina do Monachium. Wycieczka jednak nie podążyła do celu najbliższą drogą, lecz przejechała ogromną przestrzeń na Wrocław, Oświęcim, Wadowice, Budapeszt, Wiedeń i Salcburg do Monachium.

Zawadzili więc pruscy automobiliści o Galicyę, przejeżdżając kilka miast i miasteczek, leżących na kresach zachodnich Galicyi.

W wycieczce wzięło udział przeszło 120 automobilów, które w szybkiem tępie przesunęły się kolejno jeden za drugim w ciągu paru godzin.

Pojawienie się takiej ogromnej masy automobilów w galicyjskich miasteczkach, zapowiedziane poprzednio przez miejscowe władze, wywołało oczywiście ogromną sensacyę wśród ludności, która dotąd nie miała sposobności oglądać takiego widowiska. W granice Galicyi wjechali automobiliści w Oświęcimiu, gdzie ich powitał margrabia Pallavicini, prezes austryackiego klubu automobilistów, oraz miejscowi naczelnicy władz.

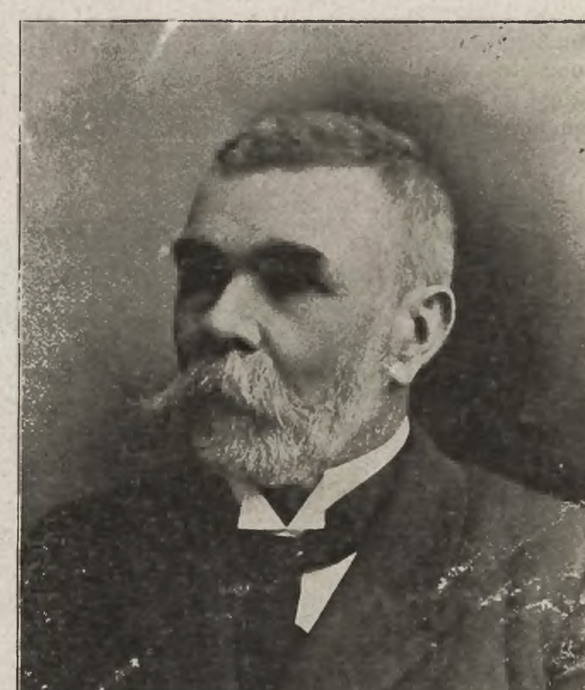
W Wadowicach witała wojskowość ks. Henryka pruskiego, jako właściciela stacyonowanego tam pułku 56 piechoty.

Z powodu zapowiedzianej wycieczki, drogi galicyjskie na tej przestrzeni, którą automobile miały przebyć, gwałtownie naprawiano, stan ich bowiem — jak zwykle zresztą — był bardzo smutny. Zorganizowano także specyalną straż bezpieczeństwa publicznego i wydano szereg rozporządzeń, celem uniknięcia wypadku. Cel ten osiągnięto w zupełności.

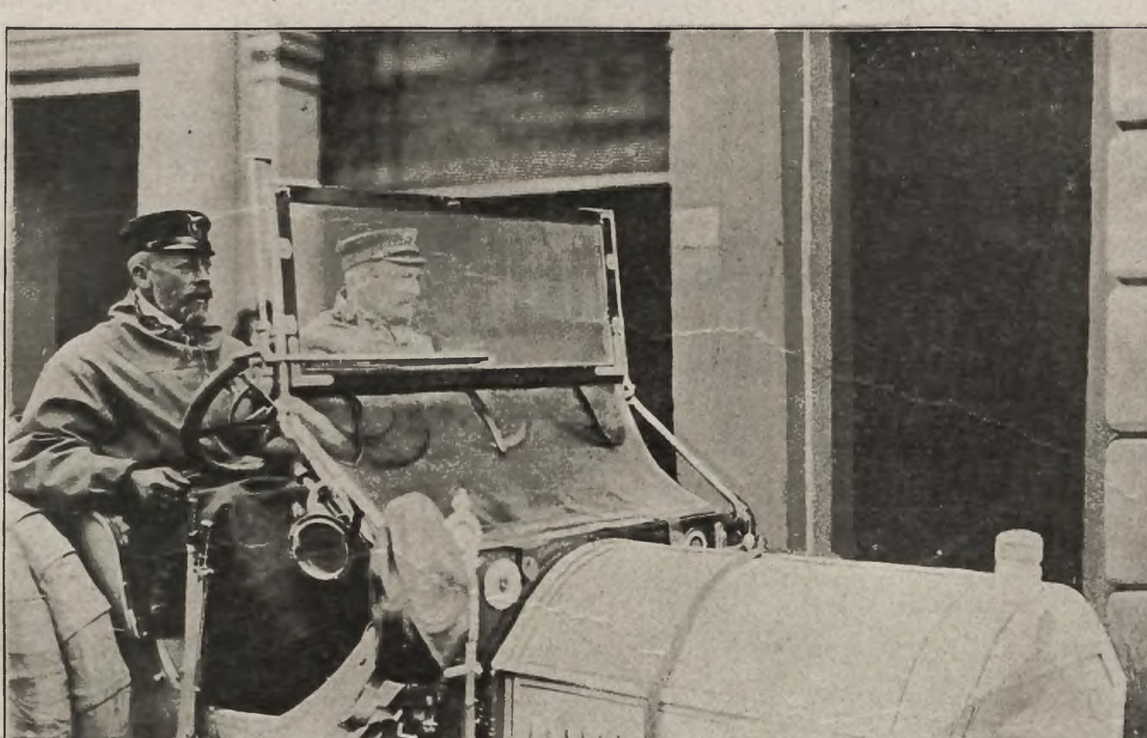
Ale gorliwość, z jaką przygotowano drogę dla pruskich wycieczkowców, wywołała wśród ludności miejscowej żal i rozgoryczenie. Na potrzeby miejscowe bowiem nigdy nie ma pieniędzy, gdy jednak chodziło o gości z Prus, wtedy się one znalazły i na naprawę dróg i na straż bezpieczeństwa.



Pogotowie ratunkowe w Zakopanem: Grupa straży pogotowia nad Morskiem Okiem; siedzi organizator pogotowia p. Zaruski (✕), obok znany przewodnik Bachleda.



Jubileusz zasłużonego pedagoga: Radca szkolny Mieczysław Jamrógiewicz, dyrektor filii IV, gimnazyum we Lwowie.



Wycieczka automobilistów: Książę Henryk pruski w automobilu podczas wycieczki.

Pogotowie ratunkowe w Zakopanem.

Rozwijający się coraz silniej ruch turystyczny w naszych Tatrach, ma niestety jedną ujemną stronę, że mianowicie staje się przyczyną dość częstych nieszczęśliwych wypadków, kończących się niejednokrotnie śmiercią. Dość przypomnieć tak tragiczny zgon naszego znakomitego muzyka śp. Karłowicza, a obecnie świeży wypadek z prof. Weissem, który zaginął w Tatrach już przed kilku tygodniami, a którego dotąd nie zdołano odszukać.

Celem zaradzenia choć w pewej części następstwom zbyt śmiałych wycieczek w niebezpieczne strony Tatr, zorganizował p. Zaruski, skarbnik Tow. tatrzańskiego, straż pogotowia ratunkowego w Zakopanem. Straż ta składa się z ochotników górali, obeznanych najdokładniej z wszystkimi zakątkami okolicy. Celem pogotowia jest niesienie pomocy wszystkim tym, którzy bądź zabłąkają się w nieznanych sobie stronach, bądź ulegną nieszczęśliwemu wypadkowi, a wiadomość o tem dojdzie do straży pogotowia.

Świeżo zorganizowane Pogotowie pracowało już raz bardzo usilnie nad odszukaniem prof. Weissa, jak dotąd jednak bezskutecznie. Rycina nasza przedstawia właśnie straż pogotowia z p. Zaruskim w pośrodku w czasie tych poszukiwań, w okolicy Morskiego Oka.



Trzęsienie ziemi w południowej Francyi: Widok domu w Rognes, zrujnowanego skutkiem trzęsienia ziemi.

Trzęsienie ziemi w południowej Francyi.

Ścisłe obserwacye naukowe, dokonywane w obserwatoryach seismograficznych, rozsianych po całej kuli ziemskiej, przekonywują, że niema prawie jednego dnia w roku, który minąłby bez silniejszych lub słabszych wstrząśnień skorupy naszego planety. Niestety jednak wstrząśnienia te bywają niekiedy tak silne, że powodują katastrofy w rodzaju tej, jaka na początku bieżącego roku dotknęła Reggio i Messynę.

I obecnie mamy znów do zanotowania trzęsienie ziemi, które nawiedziło pobrzeże południowej Francyi, a które choć nie może się mierzyć z ostatniem trzęsieniem ziemi we Włoszech, w każdym jednak razie poczyniło znaczne szkody, przenoszące dwa miliony franków, oraz spowodowało śmierć około stu osób i ciężkie zranienie kilkuset.

Trzęsienie to wydarzyło się wieczorem dnia 12 b. m., a szczególniej dotknęło miejscowości: Rognes, Lambese, St. Cannat i Vernegues, które są prawie doszczętnie zniszczone. W Marsylii dało się ono uczuć dość silnie, lecz większych szkód nie wyrządziło. Poprzedził je dziwny fenomen, który obserwowano na godzinę przed katastrofą. Mianowicie morze wzburzyło się bez widocznego powodu, niebo zaś okryło się mnóstwem gwiazd spadających, które zdawały się pogrążać we wzburzonych falach, wreszcie na morzu zajaśniała oślepiająca łuna.

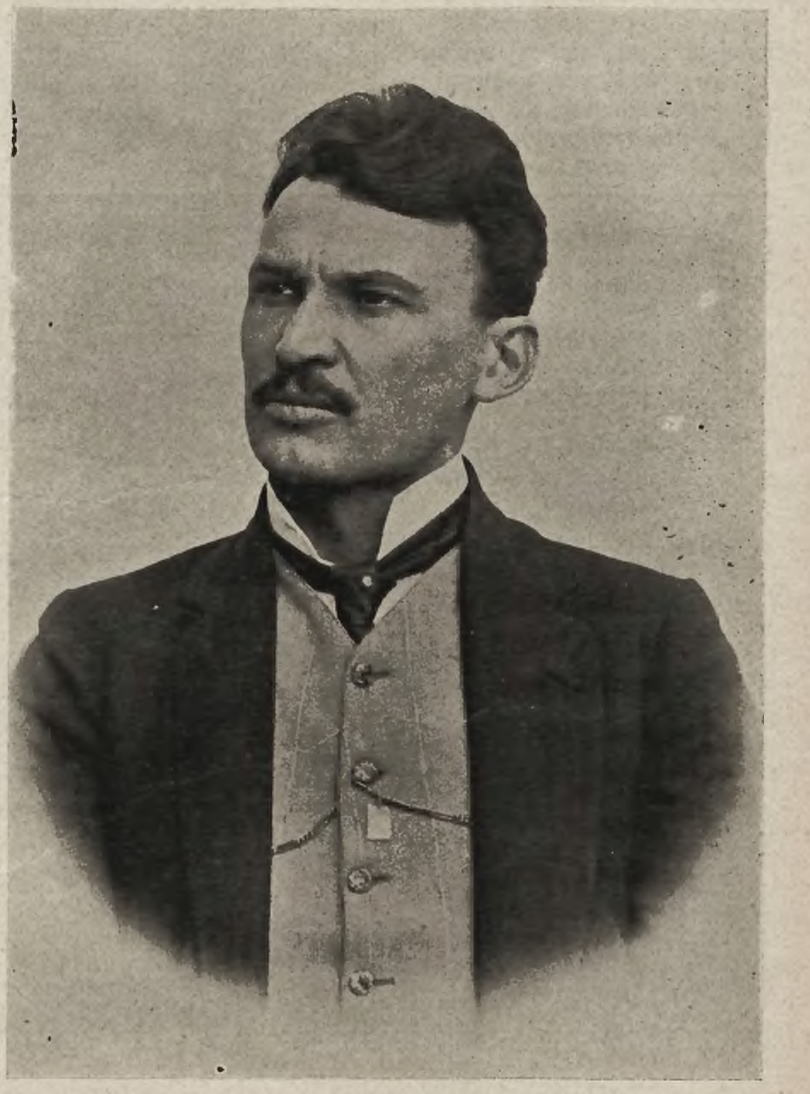
Ryciny nasze doskonale illustrują straszne skutki tego trzęsienia ziemi, a także podjętą przez wojsko energiczną akcyę ratunkową. Pomimo, że władze miejscowe starają się wszelkimi sposobami, aby przyjść z pomocą dotkniętym katastrofą, nędza panuje między nimi wielka. Zdarzyły się tam również, podobnie jak we Włoszech, wypadki rabunku wśród ruin, co dowodzi, że w człowieku tkwi często natura dzikiego zwierza. W dodatku zaś niezwykłe na tamte okolice zimno i ulewy, przyczyniły się do pogorszenia losu bezdomnych ofiar ostatniego trzęsienia ziemi.

Szynkarz kandydatem na członka Akademii.

Aż do ostatnich prawie czasów, akademia francuska pomimo wielu zmian, jakie przeszła w ciągu swego prawie trzechwiekowego istnienia, zachowała do pewnego stopnia charakter kastowy. Nie ulega



Szynkarz kandydatem na członka Akademii: Michał Pons.



Stanisław Tarnawski, basista opery lwowskiej.

wprawdzie kwestyi, że niepospolite zdolności i znakomite prace literackie otwierały często podwoje tej wielką sławą cieszącej się instytucyi naukowej, ale także pozostanie faktem, że do grona czterdziestu „nieśmiertelnych" dostawali się nieraz ludzie utytułowani i posiadający znaczne stosunki, o których zasługach na polu literatury nie wiele można było powiedzieć. Wystarczał im tytuł księcia lub hrabiego, naturalnie z dodatkiem odpowiedniej fortuny.

W czasach jednakże dzisiejszych, gdy demokratyzacya czyni postępy we wszelkich kierunkach, zaczyna jej skutki odczuwać na sobie nawet akademia francuska. Paryskie bowiem dzienniki donoszą, że o fotel akademicki, opróżniony przez śmierć Franciszka Coppégo, stara się poeta ludowy i właściciel jednej z większych szynkowni, Michał Pons. Ma on posiadać znaczne szanse przeprowadzenia swej kandydatury.

W razie, gdy mu się uda pozyskać dla siebie głosy członków Akademii, będzie to pierwszy człowiek nietylko pochodzący z ludu, ale wśród niego żyjący, który osiągnie zaszczyt, będący marzeniem każdego człowieka pióra we Francyi, zaszczyt o który tylu wybitnych literatów francuskich, jak bracia Goncourt, Zola, Guy de Maupassant itd. starało się napróżno.

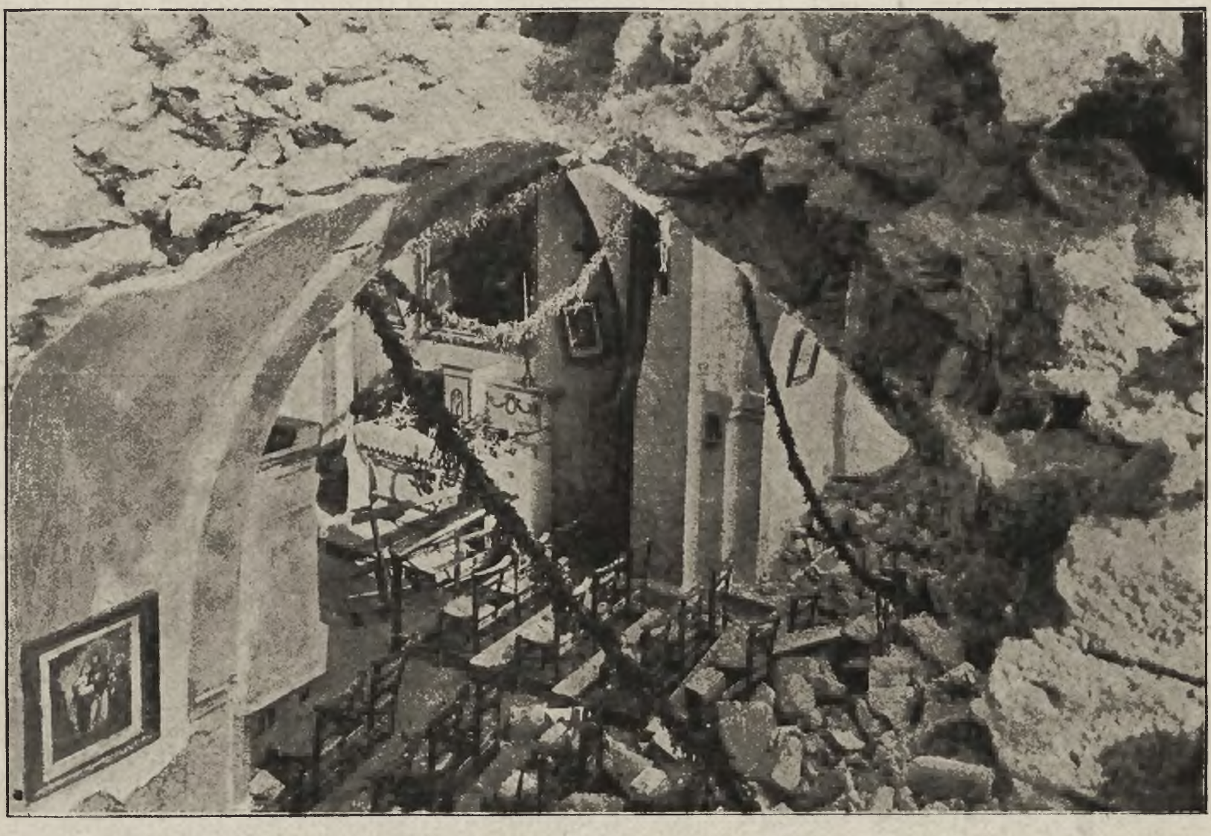
Francuz o Polsce.

Polonia w Paryżu stara się gorliwie o zapoznawanie Francuzów z najważniejszymi wypadkami w Polsce i utrzymywanie stałego, serdecznego stosunku z narodem francuskim. Ważną bardzo rolę w tym kierunku odgrywa komitet prasowy polsko-francuski, którego komunikaty przyczyniają się w bardzo znacznej mierze do prostowania rozmaitych fałszywych wieści o Polsce i Polakach.

Staraniem tego komitetu odbył się przed kilku dniami wykład profesora Sorbony, Ernesta Denis'a, wybitnego historyka francuskiego, na temat obecnej sytuacyi w Polsce, w szczególności o stosunkach w zaborze rosyjskim, między innemi o sprawie odłączenia Chełmszczyzny.

Konferencya prof. Denis'a, urządzona w sali „*Société d'Encouragement*", zgromadziła prócz bardzo wielu Polaków, bawiących obecnie stale w stolicy Francyi, także grono poważnej, dystyngowanej, publiczności francuskiej, interesującej się sprawą polską. Wykład prof. Denis'a, oparty na gruntownych studyach i doskonałej znajomości stosunków, wykazywał, że odłączenie Chełmszczyzny zaszkodzić może najwięcej samej Rosyi, która zamiast słuchać podszeptów pruskiego rządu, powinna szukać porozumienia z Polakami i na nich się oprzeć.

Zarówno wybitnemu uczonemu, profesorowi Denisowi za jego pełne życzliwości dla naszego narodu słowa, jak komitetowi polsko-francuskiemu za urządzenie tego zajmującego wykładu, należy się wdzięczność i uznanie.



Trzęsienie ziemi w południowej Francyi: Wnętrze zniszczonego kościoła w Vernegues.

Arcydzieło techniki inżynierskiej.

Ciągłe wysiłki uczonych inżynierów, którzy wyzyskują praktycznie najświeższe zdobycze na polu technologii, pozwalają im wykonywać coraz to większy podziw wzbudzające dzieła. Do takich dzieł należy bezsprzecznie wiadukt kolejowy w miejscowości francuskiej Fades na linii kolejowej St. Eloy-Pauniat, który jest obecnie na ukończeniu, jak to widać z naszej ryciny. Cała długość tego wiaduktu wynosi 465 metrów, dwa główne murowane filary, na których wspiera się środkowe przęsło wiaduktu, mierzy 92 metry wysokości, szyny zaś kolejowe ułożone na jego żelaznej konstrukcyi, znajdują się w wysokości 132½ metra ponad łożyskiem rzeki Sioul, płynącej pod spodem.

Konstrukcyę żelazną na tym wiadukcie, kładziono, jak to pokazuje rycina, częściami, posuwając się ku środkowi z obu stron jednocześnie.

Dzieła tego dokonano w stosunkowo krótkim czasie, przyczem pomimo kolosalnych trudności, o-



Trzęsienie ziemi w południowej Francyi: Wnętrze jednego z zawalonych domów.

beszło się bez wypadków z ludźmi, zmuszonymi pracować na tak zawrotnej wysokości. W każdym razie wystawiono świetne świadectwo inżynierom francuskim, ich energii, oraz pomysłowości.

Wycieczka do wodociągu.

Komisya wodociągowa Rady miejskiej krakowskiej, urządziła w ubiegłą niedzielę wycieczkę do Bielan, celem zwiedzenia zakładu wodociągowego. Prócz grona członków komisyi pod przewodnictwem prezydenta dra Lea i wiceprezydenta Sarego, wzięli w niej udział członkowie rady miasta Podgórza z burmistrzem Maryewskim na czele, oraz poseł prof. Tadeusz Sikorski.



Trzęsienie ziemi w południowej Francyi: Wydobywanie trupów z pod ziemi przez żołnierzy.

Popołudniu ruszyli uczestnicy wycieczki parostatkiem „Wawel“ z placu Groble, Wisłą ku Bielanom. Po trzech kwadransach miłej jazdy stanął parostatek u stóp góry Bielańskiej, gdzie właśnie położony jest zakład wodociągowy. Zajmuje on tam przestrzeń kilkumorgową po lewym brzegu Wisły; wzrastające zapotrzebowanie wody zmusiło dyrekcyę zakładu do poszukiwania nowych źródlisk i po prawym brzegu Wisły, na którym odbywają się obecnie próby. Oba te brzegi zwiedzili uczestnicy wycieczki.

Oprowadzał ich i fachowych objaśnień udzielał dyrektor zakładu wodociągowego, inżynier Jaszczurowski. Zwiedzono więc naprzód główny budynek, mieszczący halę maszyn, kotłownię i warstaty, dalej pomniejsze budynki, oraz jedną ze studzien, rozmieszczonych w pewnych odstępach po całym terenie zakładu. Nakoniec oglądnięto roboty po prawym brzegu Wisły.

Celem wycieczki było zaznajomienie z wodociągiem krakowskim nietylko nowych członków Rady krakowskiej, ale i radnych z Podgórza, obecnie bowiem toczą się rokowania między temi dwoma gminami w sprawie zaopatrzenia Podgórza w wodę przez wodociąg krakowski. O ile sama sprawa zaprowadzenia wodociągu w Podgórzu napotyka już na bardzo nieliczną opozycyę w tamtejszej radzie miejskiej, o tyle wspólny wodociąg ma dużo przeciwników w Podgórzu, którzy chcą, aby miasto to wybudowało własny zakład wodociągowy.

O rozstrzygnięciu tej doniosłej sprawy, zadecyduje różnica w kosztach. Jeżeli się okaże, że zaprowadzenie wodociągu wypadnie taniej za pośrednictwem zakładu krakowskiego, aniżeli budowa własnego zakładu, w takim razie rada miasta Podgórza przyjmie ofertę gminy krakowskiej.

Członkowie obu rad miejskich dyskutowali bardzo szczegółowo nad tą sprawą, podnosząc argumenty za i przeciw. Spodziewać się można, że już w najbliższym czasie decyzya zapadnie, ponieważ rada miasta Podgórza postanowiła w zasadzie wprowadzić jak najprędzej wodociągi.

Po zwiedzeniu całego zakładu i po przekąsce zastawionej przez dyrekcyę wodociągu, zajęli członkowie komisyi miejsca na statku i w pół godziny znaleźli się z powrotem w Krakowie.

Zarówno cała droga ku Bielanom jak następnie z powrotem do Krakowa, jakoteż dwugodzinny pobyt w zakładzie wodociągowym, pozostawił jak najmilsze wspomnienie u wszystkich uczestników pouczającej wycieczki. Jazda statkiem po Wiśle daje sposobność do obserwowania prześlicznej okolicy, rozciągającej się po obu brzegach „królowej wód polskich“ i stanowiącej przedziwną rozkosz dla oka, umęczonego widokiem szarych murów miejskich.

Jubileusz zasłużonego pedagoga.

Ciężki to, odpowiedzialny i częstokroć bardzo niewdzięczny zawód wychowawcy młodego pokolenia. Uznali to już starożytni w przysłowiu: „*quem dii oderunt, paedagogum fecerunt*“, a i teraźniejszość daje na to ciągłe dowody. Wytężająca praca, która najczęściej nie spotyka się z należytem uznaniem, to chleb codzienny, co prawda bardzo gorzki, każdego z pracodawców na tej niwie, a nagrodą tylko przeświadczenia, iż pracuje się dla dobra powierzonej swej pieczy młodzieży, która jest przecież całą naszą nadzieją. To też szczęśliwy, kto nie ustał w pracy, lecz danem mu było doprowadzić dzieło do końca, i z dumą spoglądać może na zastępy znanych i poważnych obywateli kraju, którzy jego pracy i kierownictwu zawdzięczają, że wybili się na świecznik. Jedyna to nagroda, jakiej spodziewać się mogą w naszych stosunkach cisi i skromni pracownicy na polu średniego szkolnictwa, tem słodsza, iż zdobyta w nader niekorzystnych warunkach.

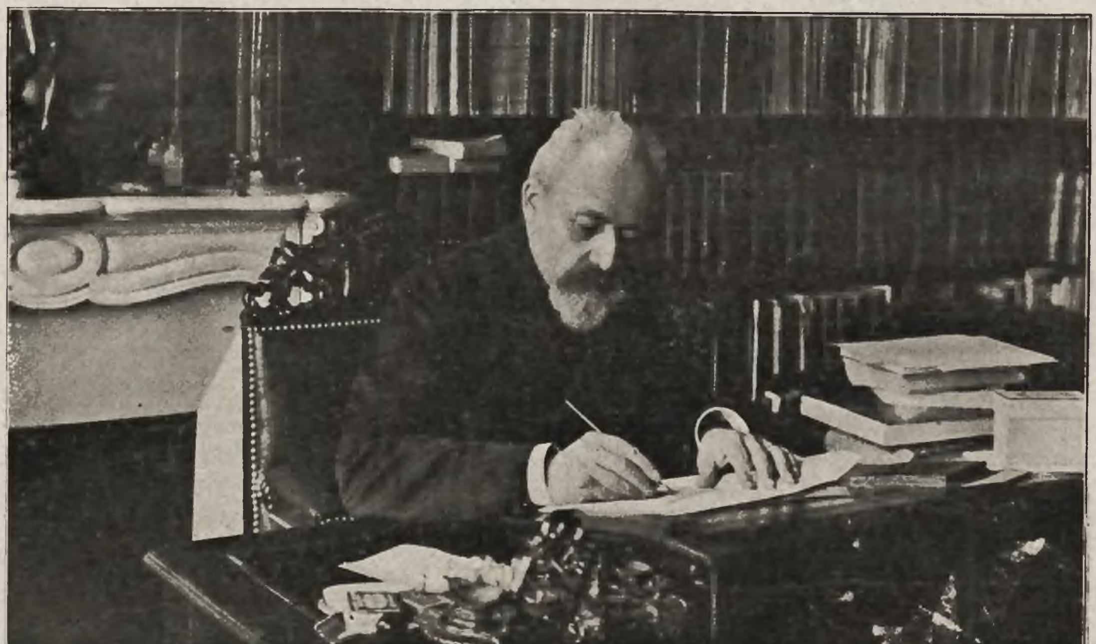
W tem właśnie położeniu znajduje się dyrektor filli IV. gimnazyum we Lwowie, radca szkolny Mieczysław Jamrógiewicz. Czterdzieści lat mija, odkąd z młodocianym zapałem zabrał się do pracy nad wychowaniem młodego pokolenia. Z biegiem czasu wiek posrebrzył jego włosy, niejedno niepowodzenie dało się we znaki, on jednak szlachetnego zapału i energii nie stracił, i z głębokiem przeświadczeniem, że życia nie zmarnował, po prawie półwiekowej pracy usuwa się w zacisze życia domowego. Tysiące poważnych obywateli kraju, niegdyś jego uczniów, to nagroda za wieloletnie trudy i wysiłki.

Lecz i młode pokolenie nie zapomniało, co winno swemu przewodnikowi. Radca Jamrógiewicz jest w tem przyjemniejszem położeniu, od wielu swych współpracowników, iż wysiłki jego i starania spotkały się z uznaniem. Grono byłych uczniów sędziwego pedagoga, korzystając ze sposobności, jaka nadarza się z okazyi ustąpienia jego z zajmowanego dotąd stanowiska, wyraziło mu swą głęboką wdzięczność, cząc jego wybitne zasługi obchodem jubi-



Trzęsienie ziemi w południowej Francyi: Ulica w mieście Vernegues.

leuszowym, który się odbył w dniu 20. b. m. Na czele komitetu stanęli byli uczniowie Andrzej ks. Lubomirski, dr. Małaczyński i J. Tomicki. Po uroczystem nabożeństwie odbyło się w sali Sokoła II. uroczyste zebranie, w czasie którego przemawiali przedstawiciele byłych i obecnych uczniów i zawodowych kolegów. Do głębi wzruszonemu tymi dowodami uznania i wdzięczności jubilatowi, wręczono adres z podpisami byłych uczniów i dar honorowy, przeznaczony na fundacyę jego imienia przy bursie IV. gimnazyum.



Francuz o Polsce: Profesor M. Ernest Denis.

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

3 (Ciąg dalszy).

Nie miał już wątpliwości: morderca umknął tędy. Wychylił się przez okno i spojrzał na ulicę.

Rura gazowa, ciągnąc się od ziemi, tworzyła na wysokości pierwszego piętra występ, który doskonale ułatwił ucieczkę zbrodniarzowi.

Lapipe zwrócił się wściekły do gospodarza:

— Dlaczego mnie pan nie przestrzegł, że tak łatwo wymknąć się tędy?

— Lecz przecież pan inspektor nie pytał mnie o to...

Po słowach tych agent gniew swój zwrócił ku sobie. Sam powinien bić się w piersi i wołać: moja wina. Taki brak przezorności był nie do przebaczenia. Taki sławny wyżeł jak on, a w całej tej sprawie zachował się jak początkujący smarkacz! Najsprytniejsi agenci dopuszczają się nieraz największych błędów:

— To prawda! — westchnął żałośnie.

Potem powrócił do zwłok.

— Jaki on wielki — odezwał się; — gdym go widział stojącym, wydawał mi się niższym.

Rozłożył ręce Amerykanina.

— No... no... — mruczał zdziwiony.

Najmniejszy skurcz nie rysował się na spokojnej twarzy pasażera „Starego Czarnego Psa", trochę tylko czerwonej śliny znaczyło się na jego wargach. W zdumienie jednak wprawił agenta fakt, iż był on cały wygolony.

Rozejrzał się wkoło.

— Oto tłomaczenie! — zawołał po chwili.

Na stole leżała brzytwa, pędzelek z miseczką i na kawałku papieru piana mydła z włosami od zgolonych faworytów i wąsów. Przybysz widocznie przed zamordowaniem zgolił swój zarost, co mu jednak na nic się już nie przydało.

— Panie inspektorze — zawołał nagle gospodarz — proszę popatrzeć!

Palcem wskazywał na łóżko, na którem leżała płócienna, długości pół metra kiszka, wypchana, jak można się było domyślić, piaskiem lub ziemią.

To odkrycie wyjaśniło wszystko. Znany jest sposób używania przez złodziei tej strasznej broni. Czekają na chwilę odpowiednią, by wśliznąć się do pokoju podróżnego, którego chcą ograbić, a potem wśród nocy, gdy ten już śpi spokojnie, bezpieczny za zamkniętemi drzwiami, wychodzą z ukrycia i jednem uderzeniem tej bezdźwięcznej maczugi mordują nieszczęśliwego.

Teraz już odtworzenie zbrodni było bardzo łatwe. Forster, by zmienić wyraz swej twarzy, ogolił się i rozbierał się już do snu, gdy lokator numeru 11, który nie wiadomo jak znalazł się w tym pokoju, rzucił się na niego i w jednej chwili pozbawił go życia. Po dokonaniu swego czynu, bez najmniejszej trudności wydostał się przez okno. O tej godzinie ulica Birt była pusta, nikt go więc nie widział.

— Proszę iść po policyantów — rozkazał Lapipe hotelarzowi — stoją oni na rogu bulwaru... niech pędem tutaj biegną!...

Gospodarz poszedł natychmiast. Co prawda nie czynił tego z wielką chęcią, gdyż sprawa ta nie bardzo mu się podobała. Morderstwo w jego hotelu! Tylko tego brakowało! Czyż ten inspektor, który był na śladach zbrodniarza, nie mógł przeszkodzić morderstwu? Spiesząc się po policyantów, gubił się w domysłach, co mogło skłonić agenta do asystowania bezczynnego zbrodni, a nie zapobieżenia jej. Na razie Lapipe nie tracił czasu. Pierwszym jego czynem było szukanie walizy, której jednak nie znalazł; sprawca zabójstwa nie omieszkał jej zabrać z sobą.

Rzucił przekleństwo.

— Psiakrew, jestem wykierowany... lecz ja go przychwycę... chociażbym miał całe życie na to poświęcić.., ah! wykierował mnie!,.. lecz, mój kochanku, tylko teraz udało ci się... wpadniesz w me ręce razem z milionami...

Potarł z bólu czoło ręką.

— Ach! jak ja cierpię!... omdlewam!... ciemnieje mi w oczach.

Tymczasem powrócił gospodarz, przyprowadzając dwóch policyantów, którzy zatrzymali się na progu.

— Stańcie przed hotelem i pilnujcie, by nikt nie wszedł ani nie wyszedł... idę do komisaryatu... stąd bardzo blisko... ulica Batignolles, prawda?...

— Tak, panie inspektorze.

— A pan — zwrócił się do gospodarza — jest już niepotrzebny tutaj, może więc pan iść do kancelaryi i czekać na komisarza.

Policyanci schodzili już na dół do wyznaczonych sobie drzwi, gdy Lapipe zatrzymał ich i gospodarza.

— Pod numerem 14 jest jakiś Anglik, który ma odjechać rannym pociągiem... będzie zapewne żądał swych bagaży... jest on z tem żądaniem swem bardzo nudny... pod jakimkolwiek pozorem, niech go pan stąd wyprawi... nie umie ani słowa po francusku...

— Lecz, panie inspektorze...

— Co takiego?

— Ale i ja także nie umiem ani słowa po angielsku.

— Jakto, po angielsku?... nie umie pan ani słowa?... Ależ saperlipopette, na pańskim hotelu napisano „English Spoken"... Tenanapis zapewne sprowadził tutaj Anglika?...

— To ma znaczyć, że ja umiem po angielsku? — zapytał zdumiony gospodarz. — Ja nic o tem nie wiedziałem! to mój poprzednik kazał zrobić ten napis! Ja go nie zrzuciłem, jak również i tego, który jest pod spodem: *luncheon at every houi*... Powiedziano mi, że to znaczy: „dzwonek elektryczny na wszystkich piętrach"!

— Głupiec! — mruknął Lapipe — nawet na Batignolles nie spodziewałem się znaleźć takiego idyoty!

Potem dodał głośno:

— Niech więc pan wypuści tylko tego Anglika i szepnął:

— Good bey, mój stary!... pozdrowienie Edwardowi!

I wyszedł szybko, mrucząc zadowolony:

— Umiem tylko te dwa słowa angielskie i udało mi się użyć ich!...

. . . .

Zaledwie rozległ się trzask drzwi, oznajmiający, iż Lapipa już niema, gdy na progu pokoju 14 ukazał się Anglik.

Ostrożnie na palcach podszedł do schodów i przechylając się przez poręcz, słuchał, czy kogo niema. W hotelu panowała cisza.

— All right! — odezwał się do siebie.

Potem zamyślił się:

— Mam dziesięć dobrych minut... nie można tracić czasu... musiało coś niezwykłego zajść pod numerem 10, lecz nie wiem co!... Za wiele tam było ruchu w nocy... nic w tem niema anormalnego... lecz to bieganie od samego rana, ci policyanci, ten komisarz, po którego poszli!... Cóż to wszystko może znaczyć?... Wiem jednak, że zabójca pani Aesthon nie opuszczał pokoju, strzeżonego czujnie przez mego kolegę w przebraniu posługacza hotelowego, a więc?... Czyż mam przypuszczać, że leży on teraz związany i czeka, by go przewieziono do więzienia?... Jeżeli tak, jest to piękna robota i muszę oddać sprawiedliwość policyi francuskiej za jej zręczność!...

Przy myśli tej jednak roześmiał się.

— Brak jej czasami węchu... nie przypuszczałem, że mój podstęp uda się tak łatwo!... Myślałem, że pęknę ze śmiechu, jak ten dzielny inspektor dawał rozkaz, by mnie swobodnie wypuszczono...

Rozmyślając tak, podszedł ostrożnie do pokoju 10 i zajrzał do środka przez dziurkę od klucza, nic jednak nie mógł dojrzeć. Nie wahając się tedy, nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

— Aoh! — nie mógł powstrzymać się od krzyknięcia.

Nie przypuszczał nawet tego, co ujrzał... zabójca pani Aesthon zamordowany pierwszej zaraz nocy po przyjeździe do Paryża... szkoda było tego bezpiecznego snu między agentem francuskim i detektywem amerykańskim! Szybki przegląd pokoju naprowadził go na te same myśli, co i Lapipa. Nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości, że przybysz ten został zabity maczugą z piasku po ogoleniu się, koniecznem dla zmiany swej fizyognomii.

— Spieszmy się — zachęcał siebie — a może uda się nam znaleźć jaki ważny szczegół; nikogo tu niema oprócz tego nieszczęśliwego bez życia na ziemi, który mnie interesuje... odszukanie jednak autora tego dzieła jest już sprawą policyi francuskiej...

Wyjął z portfelu kawałek papieru, na którem było napisane to zdanie:

„Rysopis przypuszczalnego zabójcy pani Aesthon".

Porównajmy czy odpowiada, pomyślał i przeczytał: Nos: umiarkowany, usta: zwykłe.

— Niech też kto skorzysta z tego opisu — roześmiał się. — Szkoda czasu zajmować się tem! I pomyśleć, że telegrafowano, płacąc po pięć franków za słowo! Winni byli lepiej zrobić te pieniądze na kupno musztardy, by mieli ją dla siebie na poobiedzie.

Nachylił się nad zabitym i zaczął przeglądać kieszenie. Były one próżne. Z jednej z nich dobył tylko szczyptę tytoniu, który powąchał i rozpoznał, jako specyalny tytoń meksykański „brackmonds". Potem zdjął z nogi umarłego czerwony pantofel i obejrzał go ze wszystkich stron; na podeszwie odcyfrował jeszcze nazwisko szewca: „Smithson, Nowy York". Gdy chciał założyć z powrotem pantofel na nogę, spostrzegł, iż jest on za mały i z trudem tylko wchodzi. Zaintrygowało go to.

Zaczął uważniej badać zwłoki. Spodnie były tak ciasne, iż nie zapinały się w pasie, również i koszuli nie można było dopiąć na guzik. Zdjął z kominka kołnierzyk i chciał go założyć na szyję zwłokom, lecz i ten był za mały. Na poręczy krzesła wisiał miękki kapelusz, który zaraz poznał, ubierając jednak w niego umarłego, wsunął mu go zupełnie łatwo aż po uszy.

— Jest to coś niezwykłego — pomyślał detektyw — ten nieboszczyk ubranie nosił za ciasne, a kapelusz za szeroki!

W chwili tej rozległ się dzwonek przy drzwiach wchodowych, oznajmiający, iż agent powrócił już z komisarzem. Detektyw zaledwie zdążył ukryć się w swym pokoju.

Gdy w pięć minut potem Lapipe obrócił się po skończeniu opowiadania komisarzowi, co się stało w hotelu tej nocy, ujrzał Anglika, który spokojnie przysłuchiwał się jego słowom.

— Ach! Pan jeszcze tutaj? — zawołał Lapipe niecierpliwie. — Czyż pan mnie nie zostawi w spokoju?... Za bardzo mi pan depce po piętach!...

Anglik jednak odrzekł flegmatycznie:

— What a funny hotel!... You may ask for your luggage but it is all the same. You won't get it!...

I wyjmując z kieszeni słownik, zaczął coraz bardziej domagać się:

— Bagaże... bagaże moa...

Lapipe nie mógł powstrzymać wybuchu gniewu:

— Czyż nie miał pan swego dziadka pod Waterloo, że ani słowa nie umie pan po francusku?... Cóż pan do licha chce, bym zrobił z pańskim bagażem?... Zmykaj pan stąd!... A prędzej... galopem!... Nogi za pas, bo inaczej sam panu dopomogę... no, słyszy pan do stu piorunów!...

I pokazał mu drzwi ruchem tak dosadnym, iż Anglik popychany lekko przez gospodarza, wyszedł, nie przestając mimo to wymyślać:

— I have never seen such a thing!... and what rude perple!...

Podczas jednak, gdy Lapipe prosił komisarza o jaknajspieszniejsze napisanie protokołu, by mógł wreszcie położyć się spać, mniemany Anglik zacierał ręce na ulicy z radości.

— Już wiem wszystko, co chciałem!... Czy pasażer z „Starego Czarnego Psa" jest zabójcą z Nowego Yorku, o tem przekonam się łatwo później, tego jednak jestem jak najpewniejszy, że człowiek zamordowany nie jest tym, za kogo go mają... Jest to istotnie jego ubranie, jego pantofle i kapelusz... wszystko zostało ułożone z niezwykłym sprytem... ten zuch nie mógł sobie stworzyć lepszej sytuacyi, jak dać się pozornie zamordować zaraz po przyjeździe do Paryża... ta zamiana kosztowała go tylko nową zbrodnię... tem gorzej dla tamtego... poco się tam znajdował!...

Uderzył się w czoło i ruszył naprzód.

— Tego tylko nie mogę pojąć, jak taki agent, jak Lapipe dał się zwieść w podobny sposób... o ile sam nie zainscenizował całej tej komedyi, by wygrać coś na zatuszowaniu tej sprawy?... Nie zakończy się to jednak tak łatwo... jeszcze i ja będę miał coś do powiedzenia... pogadamy panie Lapipe!...

IV.

Dramat na placu Malesherbes.

W ośm miesięcy po tych wypadkach, które zbyte w dziennikach krótkiemi notatkami przeszły niespostrzeżone przez publikę, dwudziestego grudnia 190., o pół do pierwszej w nocy, pani i panna Korpfstrauss, żona i córka bankiera niemieckiego, osiadłego od dłuższego czasu w Paryżu, powracały z opery. Były nadzwyczaj wesołe. Przedstawienie odbyło się wspaniale. Panie te lubiły bardzo muzykę, a przytem oddawna już chciały ujrzeć „Romea i Julię", operę, którą dawano właśnie tego wieczoru. To też, gdy siadając już do stołu, otrzymały dwa fotele do opery z biletem pana Seversheim, przyjaciela pana Korpfstraussa, pospiesznie zjadły obiad i pojechały do teatru.

Gdy dorożka, którą wracały, zatrzymała się na placu Malesherbes przed domem nr. 12, w którym mieszkały, panna Korpfstrauss podniosła głowę do

góry i widząc światło w oknach mieszkania, zawołała:

— Tatko jeszcze się nie położył?

— Wiesz przecie — odpowiedziała matka — że ojciec chciał skorzystać z naszej nieobecności, by wybrać pewne szczegóły z papierów, które są mu potrzebne.

W kilka chwil potem zajechały windą na piąte piętro przed mieszkanie, które zajmowały. Zadzwoniły. Ponieważ nikt nie przychodził im otwierać, silniej nacisnęły guzik dzwonka elektrycznego. Wszystko jednak było napróżno.

— Czyż Zofia nie słyszy? — odezwała się pani Korpfstrauss.

— Tatko powinienby ją przestrzedz! — dodała córka.

Nie mogły przecież spędzić nocy w wieczorowych toaletach na schodach. Nie rozumiejąc, co się mogło stać i zaniepokojone tem milczeniem, zeszły na dół do stróża.

— Czy Zofia wyszła? — zapytała przez drzwi pani Korpfstrauss.

— Tak, proszę pani — odpowiedział stróż — koło dziesiątej godziny, otrzymała depeszę...

— Depeszę?

— Tak, wzywającą ją do Vincennes... zdaje się, że jej córka bardzo zachorowała... Wtedy pan Korpfstrauss sam jej powiedział: „Niech Zofia nie wraca na noc, a klucz zostawi u stróża, któ'y rano przyniesie mi dzienniki“...

Pani Korpfstrauss przerwała:

— Ależ to nie tłomaczy, dlaczego mąż nam w takim razie nie otworzył!... Wie dobrze, że nie mamy klucza!..

— Niech pani użyje — rzekł stróż — mojego klucza.

Mówiąc to, ubrał się pospiesznie i poszedł za niemi do windy.

I jego wysiłki, by otworzyć drzwi, były daremne.

— Zasuwka założona jest od wewnątrz! — rzekł.

To zapewnienie uspokoiło cokolwiek panią Korpfstrauss.

— Jednak jest to niezrozumiałe! — szepnęła.

Zaczęli znowu dzwonić bez przestanku. Wszystko napróżno.

— Strasznie twardy musi mieć sen pan Korpfstrauss — mruczał stróż.

— Ależ nie — zaprzeczyła młoda panna, drżąc cała — tatko śpi tak lekko, iż usłyszałby, jak mucha frunął!...

Te rozmowy, szmery i pukania obudziły kilku lokatorów, którzy zaintrygowani hałasem, wyszli do sieni w przypuszczeniu, iż mogą być pożyteczni.

— Nie pozostaje nic innego, jak wyważyć drzwi — zauważył ktoś z zebranych osób.

— Proszę wyważyć je! — zawołała pani Korpfstrauss, której niepokój wzrastał ciągle.

Wkrótce pod naporem kilku osób rozwarły się obie połowy drzwi.

Pani Korpfstrauss pobiegła zaraz do gabinetu męża, lecz na progu padła na ziemię zemdlona, wydając przeraźliwy krzyk. Pośrodku pokoju leżał w kałuży krwi pan Korpfstrauss z twarzą zwróconą ku podłodze, z rękami skrzyżowanemi i sztyletem tkwiącym między łopatkami.

Zawiadomiono natychmiast komisarza, ktory po dopełnieniu pierwszego badania, zatelefonował zaraz do dyrekcyi policyi. Wpół godziny potem przybył agent Lapipe. Od ośmiu miesięcy, od chwili zabójstwa w hotelu „Księcia Portugalskiego“ czyniono mu wymówki za niedbalstwo, jakiego się dopuścił, nie zapobiegając morderstwu śledzonego człowieka i wypuszczając mordercę.

— Niech pan się postara tym razem — mówił mu jego szef — naprawić swój błąd... niech pan użyje całego swego sprytu... podobna zbrodnia nie może pozostać bezkarną!

Agent odpowiedział strapiony;

— Niech pan dyrektor będzie spokojny, bardzo pragnę zrehabilitować się w pańskich oczach jakim doniosłym czynem!

— A więc powodzenia, panie Lapipe!

Gdy agent już odchodził, zwrócił się jeszcze do swego szefa i rzekł:

— Nie zapominam wcale o owym złodzieju z Chicago. ...Muszę jeszcze załatwić z nim swój rachunek!... Dziś, czy jutro, ale go przytrzymam... Nic on nie straci na czekaniu!...

Z pierwszego badania, jakie agent przeprowadził razem z komisarzem, mieli tylko ten zysk, iż nie mogli w żaden sposób odkryć drogi, jaką zabójca dostał się do środka. Drzwi od schodów kuchennych, które zamykano na łańcuch bezpieczeństwa — stara służąca bowiem spała w mieszkaniu — były pozamykane, kominki były tak wąskie, iż złoczyńca nie mógł dostać się tędy. Od chwili odkrycia zbrodni, nikt nie wyszedł z domu, strzeżonego przez dwóch policyantów, wszystkie zaś zakątki od strychu do piwnic przeszukano starannie.

Przytem i stróż twierdził, że od dziesiątej godziny do w pół do pierwszej, czyli od wyjścia służącej do powrotu pani Korpfstrauss, nikomu drzwi nie otwierał. Nadto ile razy drzwi wjazdowe otwierały się, tyle razy specyalny przyrząd zapalał elektryczne światło w bramie; nikt więc nie mógł przejść niepostrzeżenie koło jego mieszkania.



Potem zdjął z nogi umarłego czerwony pantofel i obejrzał go ze wszystkich stron.

Nowe odkrycie zagmatwało jeszcze bardziej całą tajemnicę. Sztylet, który tkwił w plecach pana Korpfstraussa, był jego własnością. Był to wspaniały nóż, przywieziony z podróży po Hiszpanii, a wisiał na ścianie, między inną bronią. Szczegół ten świadczył, iż złoczyńca musiał znać dobrze rozkład mieszkania, jeżeli wiedział, gdzie szukać broni, potrzebnej do dokonania zabójstwa. W gabinecie jednak nic nie było poprzewracane, ani skradzione, koło zwłok tylko leżało rozrzuconych kilka papierów.

Raniony śmiertelnie z tyłu podczas pracy bankier, musiał starać się podnieść, potem obrócił się w koło i padając, ściągnął z biurka papiery. Upadku ciała nikt nie słyszał, gdyż lokatorowie z czwartego piętra wyjechali na święta Bożego Narodzenia, o czem zapewne wiedział zabójca i na to liczył.

Już w mieszkaniu stróża obydwaj urzędnicy policyi układali raport, gdy naraz we drzwiach ukazała się zagniewana i pełna oburzenia Zofia.

— Ale już tego za dużo panie Erneście — zawołała — takich żartów nie stroi się ze starych kobiet... posyłać mnie o dziesiątej wieczór tak daleko do Vincennes!... przecież dzisiaj nie pierwszego kwietnia, by zwodzić!...

Urzędnicy spojrzeli bystro po sobie.

Zofia, która ich nie dojrzała, mówiła dalej:

— Moja córka wcale nie jest chora i nie wysyłała mi żadnej depeszy!... Jednak tego za wiele, panie Erneście? Dobrze, że mi mój pan pozwolił spędzić tam noc... Ale to wszystko jedno, niech tylko znajdę tego łobuza, który mi urządził ten kawał!...

Podczas gdy stróż opowiadał zdumionej służącej, co się stało u jej państwa, komisarz odezwał się do Lapipa:

— Depeszę tę wysłał zabójca... Chodziło mu, by pan Korpfstrauss został sam w mieszkaniu... musiał to jednak być ktoś zaufany, jeżeli przed wysłaniem depeszy wiedział, że te panie idą na operę!...

— O ile tylko — odpowiedział Lapipe — nie jest on zarazem i tym, który przysłał bilety do teatru. Możemy się o tem przekonać natychmiast...

Przy słowach tych wyszedł zaraz i pojechał do pana Seversheima, który przyjął agenta z największem zdziwieniem.

— Co? Ja posyłałem bilety na operę paniom Korpfstrauss?... Ależ nigdy w życiu, co mi pan opowiada?...

Potem, biorąc do ręki kartę wizytową, którą mu podał agent, przyznał:

— Rzeczywiście, jest to moja karta wizytowa... Och! Tego już za wiele!...

Spojrzał na kopertę.

— A jak mój charakter pisma jest podrobiony! To przechodzi pojęcie. Panie te mogły istotnie wobec tego dać się oszukać... Lecz dlaczego zbrodniarz mnie do tego wmieszał?... Jest to zapewne ktoś taki, kto doskonale nas zna... lecz ja nie widzę w naszem towarzystwie...

— Czy nie podejrzewa pan kogo ze służby?

— Nie... mam tylko jednego służącego, który od dwudziestu już lat pozostaje u mnie... to z pewnością nie on... przecież to wcale nie trudno zdobyć cudzą kartę wizytową... w potrzebie można ją sobie sfabrykować...

Opuszczając pana Seversheima, Lapipe był pewny, że człowiek, który posłał bilety do teatru paniom Korpfstrauss był tym samym, który telegrafował do służącej i zamordował bankiera. Zbrodnia była dawno zamierzona, starannie przygotowana, potem z cudowną precyzyą wykonana, a pobudką do niej mogła być tylko zemsta.

— Lecz — myślał Lapipe, łamiąc sobie nad tem głowę — kto tak bardzo pragnął zemścić się na Korpfstraussie?...

. . . .

W Paryżu najsilniejsze nawet wrażenie szybko zaciera się, dzisiaj czyta się o jednym niezwykłym wypadku, lecz nazajutrz nowy każe zapomnieć o poprzednim. Zaledwie pan Kropfstrauss został pochowany, gdy przestano mówić o tej zbrodni, która na chwilę przeraziła całą kolonię niemiecką, znającą przynajmniej ze słyszenia dawnego bankiera. Wszystko potoczyło się dawnym trybem na placu Malesherbes pod numerem 12; ta tylko zaszła zmiana, iż na szóste piętro, zamieszkałe przez służbę i ubogich lokatorów, wprowadził się w kilka dni po pogrzebie bankiera niski, łysy jegomość o czerwonawej twarzy z okularami na nosie. Był on buchalterem w kilku magazynach, w wolnych zaś chwilach zajmował się u siebie zestawianiem bilansów i przepisywaniem.

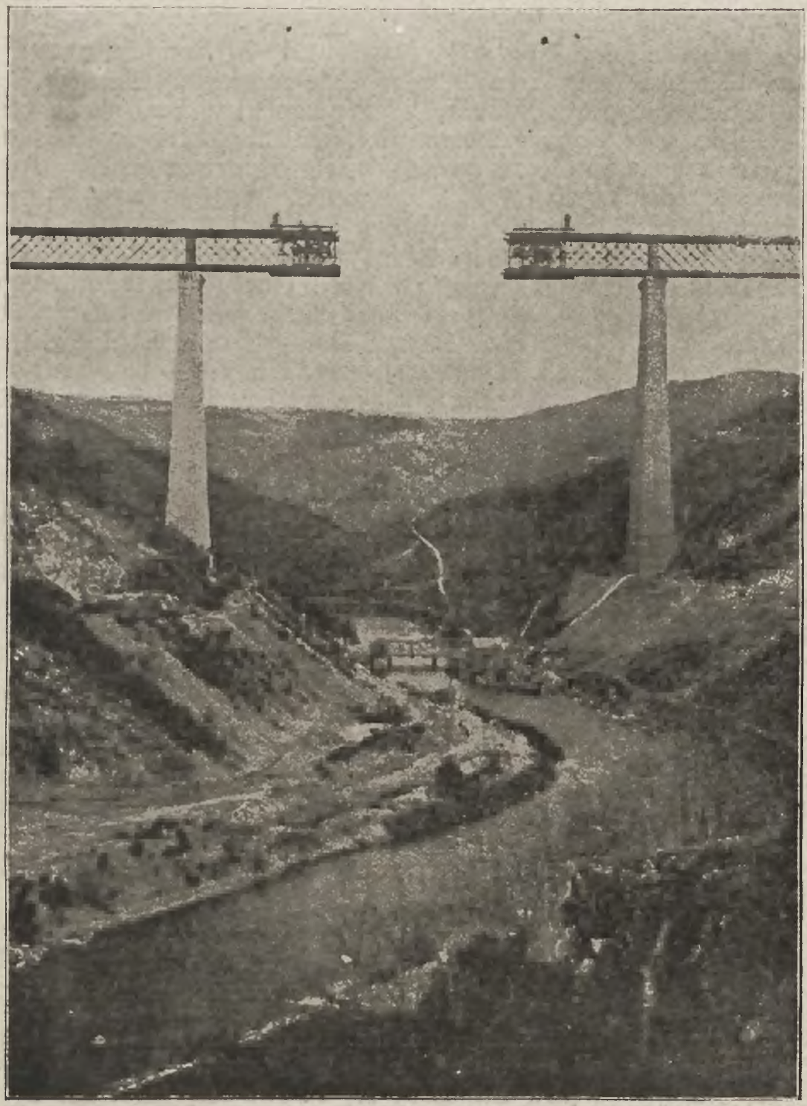
Wniesienie jego drobnych mebli odbyło się prawie niepostrzeżenie i on sam czynił tak mało hałasu, iż najbliżsi jego sąsiedzi, którymi oprócz służących był jakiś urzędnik kolejowy, stangret z remizy, posługacz z ministeryum finansów i przedstawiciel przędzalni Wolf et Cie, nie dostrzegli prawie jego obecności.

Bardzo jednak zdziwiliby się, gdyby dowiedzieli się, że ten cichy lokator spędza wieczory na podsłuchiwaniu pod ich drzwiami, a w dzień wychodzi po informacye o nich. Przenosząc się w przebraniu na szóste piętro, Lapipe miał w tem swój plan. Przedewszystkiem pozwalało mu to wchodzić i wychodzić z domu o każdej porze, bez zwracania na siebie uwagi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zjazd koleżeński.

Wiadomą i powszechnie uznaną jest rzeczą, iż najsilniejsze węzły przyjaźni zawiązuje się na ławach szkolnych. Wspólnie przeżyte w szkołach lata, wspólna „dola“ i „niedola“, pozostają na zawsze żywo w pamięci kolegów, i stanowią najmilszy temat rozmyślań i rozmów.



Arcydzieło techniki inżynierskiej: Wiadukt kolejowy w Fadeès.

Stąd też zjazdy koleżeńskie, urządzane w rocznice opuszczenia murów szkolnych po egzaminie dojrzałości, gromadzą zwykle prawie wszystkich kolegów, którzy nie wahają się nieraz z odległych bardzo stron kraju przybyć na zjazd, byle odświeżyć miłe wspomnienia z lat szkolnych, byle spędzić kilka chwil w gronie przyjaciół i dawnych swych nauczycieli.

Przed kilku dniami odbył się w Bochni zjazd koleżeński byłych uczniów tamtejszego gimnazyum, tych mianowicie, którzy dziesięć lat temu złożyli egzamin dojrzałości. Przybyli prawie wszyscy uczniowie, profsorowie. Po nabożeństwie i wspólnem zebraniu w jednej z sal szkolnych, odbyło się przyjęcie, w czasie którego wesoło i serdecznie toastowano na zdrowie byłych profesorów i na pomyślną przyszłość ich wychowanków.

Pamiątkę tego zjazdu stanowi wspólna fotografia, której reprodukcyę dziś zamieszczamy.

Stanisław Tarnawski.

Luka, jaką wykazywał personal operowy teatru lwowskiego podczas zeszłorocznego *staggione* w Krakowie, a mianowicie brak basisty, w tym roku została zapełniona i to w sposób bardzo szczęśliwy. Basistą opery jest obecnie p. Stanisław Tarnawski, bezsprzecznie jeden z najlepszych śpiewaków polskich.

Głos jego bardzo dźwięczny i miły, pod względem siły jeden z największych, wybija się w ansamblach na czoło, a w ustępach solowych potrafi zachwycać i czarować. We wszystkich partyach, dotychczas w Krakowie przezeń odśpiewanych, zaczynając od Stolnika w „Halce“ a na kapłanie japońskim w „Madame Butterfly“ kończąc, ujawniły się doskonale przepyszne zalety utalentowanego tego artysty-śpiewaka.

Repertuar Tarnawskiego już dziś jest bardzo duży, podnieść też trzeba nietylko głos wspaniały i wyszkolony, nietylko wielką muzykalność i inteligencyę artystyczną, ale i pracowitość i sumienność, z jaką każdą swą rolę przygotowuje.

Z nowych, z nieśpiewanych poprzednio partyi Tarnawskiego, zasługuje na szczególną wzmiankę Mefistofeles w „Fauście“, rola wymagająca nietylko głosu pięknego, i wytrzymałego, ale i gry odpowiedniej, tem więcej, że publiczność krakowska słyszała w tej roli tak znakomitego śpiewaka i aktora jak Didur. Otóż z całą sumiennością stwierdzić można i należy, że Mefisto Tarnawskiego był ze wszech miar doskonały, zwłaszcza jeśli się uwzględni, że do opracowania tej roli, miał sympatyczny artysta nie wiele czasu i śpiewał prawie bez próby.

Po za tą najświeższą swą rolą, ma Tarnawski już długi szereg kreacyi, w których zyskał sobie wielkie bardzo uznanie i u krytyki i u publiczności.

Już w początkach swej karyery, gdy rozpoczął występy na scenie lwowskiej przed paru laty, zwrócił na siebie uwagę i głosem bardzo pięknym i doskonałymi warunkami zewnętrznymi. A śpiewał wówczas partye mniejsze, drugoplanowe. Uzupełniwszy studya wokalne, wyjechał za granicę, gdzie również kształcił się bardzo sumiennie, następnie zaś został zaangażowany do opery warszawskiej i tam przez kilka lat stale przebywał, śpiewając już pierwszorzędne partye.

Ostatni sezon spędził we Lwowie, gdzie publiczność przyjęła swego dawnego znajomego bardzo życzliwie i serdecznie. Śpiewał partye basowe we wszystkich operach, które w tym okresie teatr lwowski wystawił, zawsze spełniając swe zadanie chwalebnie i wyrabiając sobie opinię jednego z najdzielniejszych polskich śpiewaków.



Jeszcze o „mankietnikach“: Ksiądz Eustachy Krocin.

Niestety na zakończenie przychodzi nam smutną podzielić się wiadomością, że p. Tarnawski opuszcza niezadługo scenę lwowską i przenosi się do Berlina, dokąd został zaangażowany na doskonałych warunkach na trzy lata.

Miejmy jednak nadzieję, że po upływie terminu kontraktu, p. Tarnawski opromieniony sławą, zdobytą na scenach zagranicznych, powróci do swoich, na scenę polską, aby śpiewać w ojczystym języku i być dalej podporą polskiej sceny.

Życząc więc p. Tarnawskiemu powodzenia, życzymy mu też, by jaknajrychiej do nas powrócił.



Zjazd koleżeński: Byli uczniowie gimnazyum w Bochni wraz z gronem nauczycielskiem i obecnym dyrektorem Kurowskim X) 1. Prof. Szklarzewicz; 3. Ks. Macheta; 3. dyrektor gimnazyum cieszyńskiego Schmidt.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Kłopoty ojca rodziny — Wdzięczność kobiet dla eksc. Bilińskiego. — Sprawy finansowe a słodkie nadzieje, — Wyścigi i totalizator — O słomianych wdowcach i niebezpieczeństwie dla Krakowa. — Wakacye i wycieczki wakacyjne. — Polityka na wielką skalę i ucisk Niemców w Galicyi. — Wiarygodne informacye Tygodnika illustrowanego. — Otwartość ministerstwa wojny. — Zakończenie i apel do Czytelniczek).

Ciężkie i nie do pozazdroszczenia chwile przechodził w ubiegłym i przechodzi w bieżącym tygodniu każdy szumnie panem domu nazwany ojciec rodziny. Dwie fatalności spadły na jego nieszczęsną głowę, a obie zaczynają się od *w*, wakacye i wyścigi. W domu wre gorączkowa praca. Czcigodna połowica w otoczeniu całego domowego fraucymeru odbywa nieustannie wojenne narady nad kwestyą wakacyjnych toalet, pakuje tłumoki, meble przykrywa pokrowcami, zasypuje naftaliną futra, o ile *nota bene* nie dostały się już do zakładu zastawniczego i roi najbardziej różowe nadzieje na przyszłość. Stroskane serce matczyne pociesza jedna myśl może przecież w bieżącym roku niebiosa okażą się łaskawsze i choć jedna z pięciu latorośli rodzaju żeńskiego, pozostających dotąd w świętym stanie panieńskim, złapie we wakacye tak upragnionego małżonka. Nadzieja tem realniejsze przybiera kształty, iż spodziewać się należy, że dzięki kawalerskiemu podatkowi pana Bilińskiego popyt na rynku małżeńskim będzie stanowczo silniejszy, niż w ubiegłych latach. To też matki, mające po kilka córek na wydaniu przygotowują panu ministrowi skarbu wspaniałą owacyę i uchwaliły wysłanie doń adresu dziękczynnego.

Do narad wojennych małżonek, zwany niesłusznie panem domu, nie jest wcale dopuszczony. Energiczna połowica postanowiła już, kiedy i dokąd nastąpi wyjazd, jakie kapelusze i kostyumy mają być zapakowane, jemu pozostawiono tylko starania o materyalną część przedsięwzięcia, tj. postaranie się o pieniądze. Dzięki temu ma on i większą, niż zazwyczaj wolność, może wrócić do domu i po dziesiątej wieczór, o ile ma się rozumieć, potrafi wytłómaczyć swej piękniejszej połowie, że tego wymagała sanacya wakacyjnych finansów. Lombardy, banki i rozmaici dobrodzieje rodzaju ludzkiego, pożyczający z grzeczności na wysoki procent, w formalnem oblężeniu. Czarna giełda w gorączkowym ruchu, podaż jednak nie stoi w żadnym stosunku do popytu. Szczęśliwy, komu uda się na 50% dostać bodaj ze trzysta koron, byle było czem opędzić pierwsze wydatki. Po wyjeździe pań będzie głowa swobodniejsza, wówczas będzie można pomyśleć o dalszych operacyach finansowych. Zgodzą się więc Szanowni Czytelnicy ze mną, że los biednego ojca liczniejszej rodziny jest wcale opłakany i choć pociesza go myśl, że podatek Bilińskiego dosięgnąć go nie potrafi w formie t. zw. kawalerskiej, co jednak tu zarobił, zginie bezpowrotnie w kieszeni przyjaciół mojżeszowego wyznania, którzy za marne 50% raczyli mu „wygodzyć“.

Spokój domowy zapewniony więc na razie. Nadzieja wesołej zabawy po odjeździe żony dodaje animuszu, boć zwykle się zdarza, że małżonek nie może dostać urlopu na czas wyjazdu rodziny i biada gorzko i wyrzeka na swój los, że gdy oni bawić się będą na świeżem powietrzu, on w zaduszonych murach miasta będzie musiał ciężko pracować. Trzeba jednak tak znać mężczyzn, jak ich znają nasze sufrażystki. od których się o tem dowiedziałem, aby nie uwierzyć tym jeremiadom. Co innego na języku, co innego w sercu. W duchu cieszą się te potwory w ludzkiem ciele, że dopiero teraz użyć potrafią prawdziwej wolności, a niejedna wierność małżeńska ulegnie zupełnemu rozbiciu. Nadzieja wesołej przyszłości, bodaj kilkotygodniowej, osładza gorycz ubiegania się za marnościami tego świata.

Drugi kłopot z wyścigami! Jakżeby przeciętny, szanujący się Krakowianin opuścił wyścigi, w czasie których można podać rękę szczęściu i wygrać bodaj kilka dziesiątek? Wprawdzie jakiś tam filozof z pod ciemnej gwiazdy orzekł, iż przy totalizatorze stu głupców składa się na jednego szczęśliwca, ktoby jednak robił sobie coś z podobnych bzdurstw jakiegoś tetryka, który z pewnością sam kiedyś spłukał się należycie i dlatego tak żałośnie kracze. To też, choć pęknij głowo, ale wymyśl, skąd wziąć bodaj dziesięć blatów, tj. popędzić na Błonia. Źle robi dyrekcya wyścigowa, naznaczając termin popisów hippicznych na koniec miesiąca, kiedy już płótno w kieszeni, bezpośrednio po pierwszym byłby ruch daleko większy, na czem zyskałby i totalizator i opinia miasta. Mimo to w bieżącym sezonie totalizator nie może wcale narzekać na bezrobocie; choć u nas bryndza, prawdziwie majowa, zanieśliśmy ostatnie korony na ołtarz złotego cielca i z pustą kieszenią, a jeszcze rzadszą miną powróciliśmy do ogniska domowego. pocieszając się myślą, że w przyszłym roku może przecież Fortuna obróci się ku nam weselszem, niż dotąd obliczem. Większej części totalizatorowiczów tyle zależy na podniesieniu chowu krajowych koni, co np. mnie, który mam zwyczaj jeździć tylko elektrycznym tramwajem.

Nim księżyc odbędzie połowę swej zwyczajnej drogi dokoła naszej matki ziemi, opustoszeje Kraków w zupełności, zawrze natomiast życie w letniskach, uzdrowiskach, zdrojowiskach i t. d. W mieście pozostaną jedynie słomiani wdowcy, którzy zaczną szukać pociechy w różny sposób, by zapomnieć bodaj na chwilę o swem osamotnieniu. Poczciwy dyrektor Heller zaradził już złemu po części, opera i operetka rozproszy stanowczo smutki, komuby zaś i one nie pomogły, znaleść może pociechę w Teatrze rozmaitości w Parku krakowskim lub w teatrze ludowym Rygiera. Należy się jednak mieć na baczności, ponieważ słomiani wdowcy są nader palnym materyałem, dlatego byłbym zdania, by komenda miejskiej straży ogniowej na czas miesięcy wakacyjnych utworzyła wzmocnione pogotowie pożarne, by sobie nie mieć nic potem do wyrzucenia.

Do wakacyi wzdychają w pierwszej linii uczniowie wszelakiego rodzaju. Najbardziej pragnie ich młodzież gimnazyalna, która radaby rzucić zatęchłe mury c. k. galicyjskich fabryk oleju i odetchnąć świeżem powietrzem zdala od Homerów, Owidyuszów, Horacych i innych potępieńców, wymyślonych na zmartwienie młodego pokolenia. Ulica Szpitalna, centrum krakowskiego ruchu antykwarskiego, aż się roi od sprzedających książki. Młode pokolenie, idąc za duchem czasu, gdy ministrowie łamią sobie głowy nad sanacyą finansów, myśli także o zdobyciu bodaj kilku lub kilkunastu koron, by jakoś urozmaicić sobie szarzyznę tego doczesnego żywota. W mniej złotem usposobieniu są niektórzy światłodawacy, którzy nie wyszli jeszcze z lat wojskowych i w czasie wakacyjnym będą musieli pójść za wezwaniem c. k. szerszej ojczyzny i na hofie koszarowym zażyć przyjemności wojennego życia.

I nasi ojcowie narodu, obradujący w wiedeńskim rajchsracie cieszą się, iż wakacye się zbliżają. Po trudach i kłopotach parlamentarnego żywota należy się im stanowczo wytchnienie, z zastrzeżeniem jednak, by dyetki płynęły dalej nieprzerwanym strumieniem, a łatwo zdarzyć się może, że skutkiem gorąca mogą wyschnąć. To też powoli uspokajają się umysły, a baron Bienerth oddycha, zdobywszy znakomitą większość rządową, aż pięciu ministeryalnymi głosami! Jeśli się uda posłom przeprowadzenie ustawy o spauszalowaniu dyet, nie będą potrzebowali obchodzić się tak grzecznie z rządem, który w dyetach poselskich ma bądź co bądź różdżkę, którą może karcić niegrzeczne dzieci. Obecnie toczy się dyskusya budżetowa w dalszym ciągu, a bar. Bienerth i jego koledzy żywią nadzieję, że uda im się załatwić pomyślnie przedłożenie budżetowe w drugiem i trzeciem czytaniu, poczem zostanie jeszcze nieco czasu na inne ważne sprawy, jak np. traktat handlowy z Rumunią i ustawę upełnomocniającą. Nie chcąc w gorących czasach. angażować się zanadto stronnictwa opozycyjne na razie przycichły, zastrzegając sobie dalsze prowadzenie walki z rządem na jesień. Nie przeszkadza im to wcale, iż od czasu do czasu zerwie się w Izbie mały huczek, a jeden poseł nawymyśla drugiemu, bar. Bienerth zaciera jednak ręce z radością, gdyż jak dotąd wszystko idzie po jego myśli. Niemcy tryumfują także, gdyż stało się zadość ich woli i udało im się utrzymanie supremacyi w Austryi, a poseł Stransky, zamiast użyć wakacyjnych wywczasów, wybiera się w podróż misyjną po Galicyi, by pokrzepić na duchu galicyjskich prusofilów, uciskanych srogo przez Polaków.

Bo, że z Niemcami obchodzimy się niegrzecznie, to na to mamy na każdym kroku dowody. Któż widział narzekać, że budowę szkoły w Białej oddano Niemcowi Rostowi, skoro Szwaby Białą już dawno zaanektowali dla siebie i uważają ją za swoją? Albo czy jest na miejscu unoszenie się gniewem, iż jakiś szwabski belferzyna pobił we Lwowie polskie dziecko za używanie polskiej mowy, skoro ci panowie zjeżdżając do nas, robią nam łaskę, chcąc siedzieć w „Bärenlandzie“ i nieść zachodniej oświaty kaganiec między dzikich Słowian... Po przyjeździe pana Stransky'ego odetchną Niemcy całą piersią i dla nich dopiero zaczną się prawdziwe wakacye.

Korzystając z przykładu ministra-rodaka Schreinera i posła Stransky'ego możeby i nasi polscy posłowie zechcieli w czasie feryi wakacyjnych zrobić wycieczkę na Śląsk austryacki, by przekonać się, w jak miłem położeniu żyją tam nasi bracia, narażeni z jednej strony na wynarodowienie przez Niemców, z drugiej na ucisk od braci Czechów. Niewątpliwie byłby to krok bardzo piękny, któryby podniósł ducha Polaków śląskich i dodał im siły do walki o swoje prawa. Poznaliby, że i bracia z Galicyi nietylko słowem, lecz czynem spieszą im z pomocą, a los ich nieszczęśliwy leży im na sercu. Spędziliby w ten sposób wakacye przyjemnie i pożytecznie i zasłużyliby sobie na wdzięczność całego społeczeństwa.

Wszystkim jednakowoż amatorom wycieczek wakacyjnych radzę zupełnie seryo omijać zdaleka Kraków, któremu grozi nader poważne niebezpieczeństwo, o którem, choć mieszkam stale w Krakowie, dowiedziałem się dopiero z warszawskiego *Tygodnika illustrowanego.* Korespondent owego pisma, donosząc o wybuchu prochowni w Podgórzu, popełnił tak przerażający artykuł, iż chociaż, gdym go czytał, minęły już od wybuchu prawie dwa tygodnie, czemprędzej uciekłem do piwnicy i tam dokończyłem lektury. Ów pan zawiadomił świat, iż skutkiem wybuchu wieża Maryacka przechyliła się poważnie i lada chwila grozi runięciem, należy także oczekiwać zapalenia się olbrzymich zapasów ekrazytu i melinitu, nagromadzonych w piwnicach owej prochowni, które, nawiasem mówiąc. nie istnieją. Kraków z Podgórzem wylecą wówczas w powietrze, to samo czeka całą zachodnią część Galicyi i potężny kawał Śląska. Jeśli do tego zwali się pochylona wieża Maryacka nikt z Krakowian nie ujdzie niechybnej śmierci. Artykuł ów miał skutek piorunujący! Połowa mieszkańców Podgórza wyprowadziła się natychmiast w głąb Galicyi, a tysiące Krakowian pospieszyło na Rynek i godzinami całemi wpatrywali się w kiwającą się wieżę. Jedni twierdzili, że pochyliła się na prawo, inni, że na lewo, wszyscy jednak zgodzili się, że niebezpieczeństwo groźne. Związek turystyczny nadaremnie bronił opinii Krakowa, twierdząc, że to pospolita blaga, głos jego przebrzmiał, jak głos wołającego na puszczy. Opłakany los nas biednych Krakowian, którzy musimy mieszkać na tym wulkanie i jeszcze patrzyć w górę, czy przypadkiem wieża się nie wali. Dla większego efektu należało dodać, że woda w Wiśle może się zapalić i roznieść zarzewie ognia po całym świecie. W sezonie ogórkowym i morskich wężów znalazłaby się z pewnością garść naiwnych, którzyby i tej wieści dali wiarę.

Gdy zawadziłem o prochownię, muszę podzielić się z Czytelnikami wiadomością, że ministerstwo wojny odrzuciło *a limine* żądania odszkodowania i oświadczyło, iż nie poczuwa się do żadnego obowiązku wynagrodzenia szkód, udział zaś wojskowości w komisyi badającej skutki wybuchu miał charakter czysto informacyjny. Chwali się ministerstwu, iż jest tak otwarte i nie obiecuje gruszek na wierzbie, nie mając ochoty dotrzymać obietnic. Gdyby tak nasi posłowie i inni wielcy ludzie chcieli brać przykład z postępowania ministerstwa wojny, ilu to osobnikom oszczędziliby przykrych rozczarowań, a sobie nieprzyjemności!

Dajmy jednak spokój przykrym wspomnieniom i gdy wakacye za pasem, oddajmy się im całą duszą. Następna kronika, która będzie pierwszą w trzecim kwartale (alluzya do odnowienia prenumeraty) poinformuje Łaskawe Czytelniczki w sposób najbardziej wiarygodny, co porabiają w czasie ich nieobecności w Krakowie, ich dozgonni towarzysze doli i niedoli.

Meeting krakowski.

Doroczny meeting krakowski na torze wyścigowym za rogatką Wolską, nie przyniósł w tym roku nic innego, nic odmiennego od lat poprzednich. A więc pewne, niewielkie zadowolenie znawcom sportu i amatorom konnych zapasów, rozczarowanie zaś i zawód amatorom totalizatora, którzy mogli przegrać dużo a nie mogli nic wygrać.

Pod względem sportowym zasługuje na podniesienie nowy tryumf stajni Zdzisława hr. Tarnowskiego, którego konie brały prawie zawsze pierwszą nagrodę, o ile tylko stawały na torze „Danusia“, „Klown“ i „Kameleon“ — nie zawiodły nadziei w nich pokładanych.

Parę pięknych zwycięstw odniosły też konie rotmistrza Kollera, który stale obsyła tory galicyjskie. Z pośród nich zwłaszcza „Torskie“ i „Bohun“ spisywały się dzielnie.

Charakterystyczne było natomiast, iż stajnia pp. Zangenów prawie zupełnie nie brała udziału w wyścigach tegorocznych.

Interesujące były w ciągu pięciodniowego meetingu dwa dni „jazdy panów“. Konie wprawdzie biegały prawie te same, co i w inne dni, ale zajęcie budziły biegi z przeszkodami, zapasy najlepszych jeźdźców.

Pod tym względem pierwszeństwo zdobył por. Stärz, a godnymi jego współzawodnikami okazali się pp. Bregant, Dietl i Hagelin, oraz doskonały w braniu przeszkód Sokulski. Rekord pewnego rodzaju zdobył por. Teisinger, który w jednym biegu spadł dwukrotnie z konia, mimo to jednak do mety przybył szczęśliwie.

Udział publiczności był na ogół bardzo słaby,



Meeting krakowski: Por. Dietl na „Torskiem“ rotm. Kollera.



Meeting krakowski: Rotmistrz Hagelin na swym „Sapperlocie“.

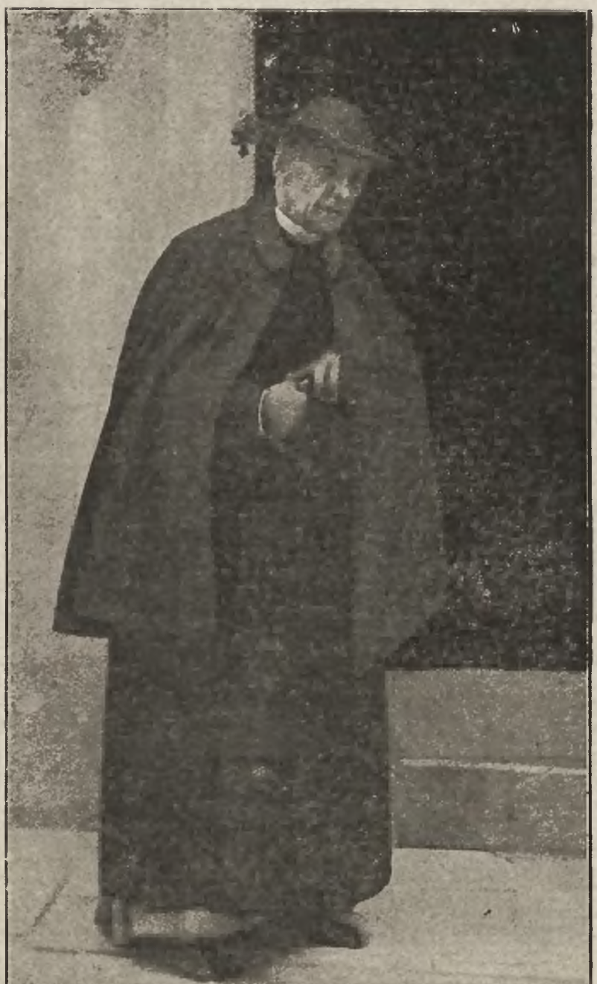


Przemyśl Słowackiemu: Scena z uroczystości w Przemyślu, podczas przemówienia burmistrza dra Dolińskiego.

jedynie w niedzielę zapełniły się trybuny dość szczelnie.

Przemyśl Słowackiemu.

Miasto Przemyśl uczciło w ubiegłą niedzielę pamięć wielkiego naszego wieszcza w sposób bardzo uroczysty. Odbyło się mianowicie w tym dniu poświęcenie tablicy, umieszczonej w ulicy Dobromilskiej, która odtąd nosić będzie nazwę Juliusza Słowackiego.



Demonstracya młodzieży: JEmin. Kardynał książę biskup Puzyna.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w katedrze, poczem pochód podążył ulicami miasta ku wylotowi ulicy Dobromilskiej. Tam zebrali się tłumnie uczestnicy obchodu, a więc „Sokół“ w mundurach, straż pożarna, młodzież szkolna, Koło T. S. L., szereg stowarzyszeń miejscowych, przedstawiciele władz, oraz włościanie z okolicy.

W poprzek ulicy, tuż u jej wylotu, wybudowano wspaniałą bramę, ubraną festonami, zielenią, chorągwiami i flagami, obok zaś w narożnej kamienicy umieszczono tablicę z imieniem poety. Tablica ta została wykonana kosztem gminy.

Z trybuny, ustawionej pod tablicą, przemówił naprzód burmistrz Przemyśla dr. Doliński, a następnie przewodniczący komitetu, b. poseł dr. L. Tarnawski.

Po tych przemowach i po odśpiewaniu kilku pieśni patryotycznych, publiczność rozeszła się spokojnie do domów.

Popołudniu odbył się w Sokole obchód dla ludu, a wieczór „Akademia“ dla publiczności przemyskiej.

Cały obchód wypadł bardzo pięknie i pozostawił jak najlepsze wrażenie.

Demonstracya młodzieży.

Wyraźnie cały naród polski życzy sobie, aby prochy Juliusza Słowackiego spoczęły na Wawelu, tam, gdzie czeka Adam chwili zmartwychwstania, a gdzie obok niego znajdzie się w niedługim czasie Zygmunt. Dobra wola jednak narodu spotkała się z inną wolą ks. kardynała Puzyny, który stanowczo oświadczył, że jak długo jest gospodarzem w katedrze wawelskiej, nie pozwoli, aby prochy Juliusza w niej spoczęły.

Z tej sprzeczności między wolą obrzymiej większości polskiego narodu a wolą jednostki przybranej w purpurę, wynikł bardzo smutny a cieszący naszych wrogów rozdźwięk. Bezpośrednim zaś jego skutkiem są zajścia między młodzieżą akademicką a krakowską władzą bezpieczeństwa, o czem szeroko pisały dzienniki.

W dniu 21 bm. młodzież ta, sprowokowana po wiecu ogólno-akademickim przez nietaktowne zachowanie się organów tej władzy, dopuściła się pewnych przekroczeń, które jednak bynajmniej nie usprawiedliwiają brutalnego zachowania się policyi krakowskiej.

Nazajutrz po owym pierwszym wiecu, odbyła młodzież akademicka drugi — w sali Kopernika w *Collegium novum*, na którym wybrano komisyę, złożoną z przedstawicieli wszystkich stowarzyszeń akademickich w celu zebrania szczegółów, odnoszących się do starcia młodzieży z policyą. Przez komisyę tę zebrany materyał przedstawiony będzie władzom kompetentnym.

Rycina nasza przedstawia młodzież akademicką w chwili, gdy po wiecu opuszcza uniwersytet.

Zgon sędziego-obywatela.

W Rożniatowie, mieście obwodu stryjskiego, umarł przed kilku dniami w sile wieku sędzia tamtejszy dr. Ignacy Karcz. Przybywszy tam przed ośmiu laty ze Lwowa, gdzie się kształcił, odrazu silną indywidualnością swoją potrafił skupić koło siebie wszystkich ludzi dobrej woli, inteligencyę, mieszczaństwo i lud do wspólnej pracy publicznej. Założył Sokoła, czytelnię ludową T. S. L., zbierał ludzi, mówił do nich, zwracał uwagę na leżące odłogiem zagony myśli narodowej i społecznej. Niezwykły mowca, szczerością swego przekonania, pra-



Zgon sędziego-obywatela: Śp. dr. Ignacy Karcz.



Demonstracya młodzieży: Młodzież akademicka po wiecu wtorkowym przed gmachem uniwersytetu.

wdziwie demokratycznego, energią i stanowczością w sprawach publicznych, a niezwykłą łagodnością charakteru w życiu codziennem porywał i zagrzewał do szeregowania się i organizacyi. Jego praca ośmioletnia na stanowisku prezesa Sokoła i Czytelni T. S. L. zaznaczyła swe ślady głęboko, a jego następcy w żywej pamięci przechowają dzielną postać zmarłego, działając dalej w myśl jego inicyatywy, w myśl głoszonych przez niego haseł.

Pogrzeb ś. p. Ignacego Karcza w Rożniatowie był wielką manifestacyą żałobną. Z kilku gniazd okolicznych przybyli Sokoli, aby prezesa rożniatowskiego gniazda zanieść na wieczny spoczynek. Nad trumną zmarłego w rzewnych słowach przemówili dyr. Franciszek Ligęza i prezes kałuskiego Sokoła Kajetan Kosacz.

Zmarły był bratem p. Aleksandra Karcza, współpracownika „Nowej Reformy“, któremu z powodu bolesnego ciosu przesyłamy tą drogą wyrazy serdecznego współczucia.

Aleksandra Szafrańska.

Nie wiele debiutantek spotkało się dotąd z tak jednomyślnem uznaniem fachowej krytyki i tak wielkiem powodzeniem u muzykalnej publiczności, jak panna Aleksandra Szafrańska, która w ubiegłą niedzielę kreowała rolę Małgorzaty w starym, ale zawsze pięknym „Fauście“ Gounoda.

Było zaś to uznanie najzupełniej sprawiedliwe i zasłużone, bo młoda debiutantka wykazała tak poważne zalety, zarówno pod względem głosowym jak i gry aktorskiej, że sukcesu odniesionego można i jej samej i nauczycielom, u których się kształciła, szczerze powinszować.

Głos p. Szafrańskiej już dziś jest wcale duży, ale imponuje przedewszystkiem nieskazitelną czystością, dźwiękiem prawdziwie metalicznym oraz przedziwną miękkością i giętkością, co umożliwia śpiewaczce przemawiać wprost do duszy i serca słuchacza. Sopran to jeden z najpiękniejszych. A gdy się przytem zauważy, że warunki zewnętrzne posiada debiutantka jak najlepsze, że pod względem scenicznym opracowała rolę wzorowo, to śmiało można, uwzględniając to wszystko, piękną rokować przyszłość młodej artystce



Aleksandra Szafrańska.

Panna Szafrańska jest z rodu Krakowianką. Studya początkowe tu pobierała, następnie zaś kształcił ją prof. Wermuth, ceniony tenor, znany z występów i w Krakowie. Przeważna więc część zasługi w wykształceniu i wyszkoleniu głosu p. Szafrańskiej, przypada w udziale znanemu śpiewakowi p. Ignacemu Warmuthowi, którego szkole ta uczenica przynosi niemałą chlubę. Pomijając bowiem wrodzone zdolności i muzykalność młodej artystki, w śpiewie jej odczuwa się doskonałą szkołę. Dykcya nader wyraźna, głos ustawiony doskonale, dźwięczny mile i donośnie we wszystkich rejestrach, w atakowaniu tonów nawet bardzo wysokich pewność i czystość.

Spodziewać się należy, że nadzwyczajny sukces, jakim był uwieńczony pierwszy występ p. Szafrańskiej, zachęci ją do dalszej pracy i do poświęcenia się karyerze artystycznej, w której czeka ją niewątpliwie ogromne powodzenie.

Wielkie powodzenie nowej emisyi akcyi Živnostenska banka pro Cechy a Moravu w Pradze. Jak nam donoszą, ukończoną została 15 b. m. emisya 50.000 sztuk nowych akcyi Živnostenskiego banku na ogólną nominalną kwotę Kor. 10,000.000. Subskrypcya miała niebywałe powodzenie, subskrybowano 74 sztuk, a więc o 50% więcej, aniżeli rozpisano, co w stosunkach naszych ekonomicznych ma nadzwyczajne znaczenie. Emisya Banku Živnosteńskiego przeprowadzoną była po emisyach 6 ciu innych czeskich banków, w czasie późnej wiosny a więc w porze mniej korzystnej. Powodzenie emisyi uważać należy jako dowód wielkiego zaufania ze strony Publiczności oraz jako dowód rosnącej potęgi instytucyi. Ze strony niemieckiej publiczności napotykała emisya ta uwagi mało sympatyczne i wiadomem jest, ze w obecnych warunkach narodowych, skazaną była wyłącznie na kapitał czesko słowiański. Powodzenie emisyi Živnosteńskiego Banku wywołuje echo zadowolenia u tych, którzy pragną rozwoju poważnej pracy ekonomicznej, widząc w niej gwarancyę naszych sił w przyszłości.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 24.

Arytmogryf: Pierydy, Horpyna, Eretrya, Krytyka.
Łamigłówka literacka: Karol Darwin.
Zadanie do przestawienia: Sztuką Niemca tłuką.
Logogryf: Jerzy Żuławski.
Zagadka: Akka.
Zagadka do przestawienia: Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
Szarada: Nowiny.
Zagadka literacka: Dewajtis.
Zagadka: Aron.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: O, Górkowa Chyrów, L. Lemiszewski Kołomyja. B. Lindenbaum Czortków, H. Hamulińska Lwów, W. Ossowski Warszawa, A Biliński Tarnopol, J. Lehman Lwów, K. Urbański Kraków, E. Lesikowski Warszawa, B. Fijałkowski Krosno, J. Nowacki Rzeszów, W. Osiadacz Złoczów, M. Ogonowski Warszawa, L. Lipowski Krosno, W. Łachecki Kraków S. Kowerska Łódź, W. Rapalska Płock, S. Giżycki Warszawa, K. Kotlas Kraków, B. Płachecka Sandomierz, J. Radomski Kraków, J. Kohn Rzeszów, E. Winkler Kołomyja, J. Kisielewski Tarnopol, K. Danifowicz Stanisławów, M. Lubowska Radom, J. Wieczkowski Kołomyja, Z Krittenstein Czerniowce, B. Stern Łódź, E. Gologórski Lwów, W. Trojacki Wietrzychowice, Z. de Boulange Gawłówek, S. Danziger Osiny, H. Chodkiewicz Warszawa, M. Kuzia Wadowice, K. Kościński Żabki, W. Laskowski Warszawa, S. Rogoyski Bochnia, J. Augustynowicz Żywiec, A. Polończykowa Żywiec, W. Rapacz Żarki, K. Fuchs Czeremchów

Nagrodę przez losowanie otrzymała **B. Płachecka,** Sandomierz. Uprasza o nadesłanie 35 kop na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Minister Kossuth przybył do jednego ze swych przyjaciół politycznych w odwiedziny, a przechodząc przez pokój dzieci, zastał je bijące się na ziemi i krzyczące w niebogłosy. Lajosz rwał włosy z głowy Aranki, ta kopała małego Belę, ten znów podstawiał nogę Arpadowi. Widząc taki tumult, a nie wiedząc, coby to miało znaczyć, pyta wujcio Kossuth:

— A pfe dzieci! Czy to wypada się tak kłócić i bić?

— Kiedy my wujaszku nie kłócimy się, tylko bawimy!

— A w co się tak bawicie?

— W *koalicę!* — brzmi odpowiedź ośmioletniego Lajosza, który niezawodnie wyrośnie na dzielnego polityka.

* * *

— Ja bardzo wątpię, czy Kossuth będzie mógł objąć obowiązki prezydenta ministrów, on jest przecież ciągle chory! — rzecze jeden z węgierskich mężów stanu.

— E... tak znowu chory nie jest! — odparł z przekonaniem drugi.



HENRYK SCHWARZ

Magazyn towarów bławatnych i konfekcyi damskich.

Telefon 43 **Kraków, Grodzka 13** Telefon 43

Adres telegraficzny: HASCHWARZ KRAKÓW. Czek pocztowej Kasy oszcz. Nr. 800.803.

Sprzedaż metrowa

MATERYAŁÓW NA SUKNIE, KOSTYUMY I BLUZKI.

Wełny od Kor. 3 za metr. — Kapelusze, rękawiczki.

Własne pracownie.

W interesie własnego zdrowia powinien każdy żądać wszędzie tylko

TUTEK CYGARETOWYCH

Z FABRYKI RUDOLFA HERLICZKI W KRAKOWIE

Ostrzega się przed licznemi naśladownictwami, które się w ostatnich czasach pojawiły!

Wzory i cenniki wysyła fabryka na żądanie darmo i opłatnie.



Zdzisław Zdanowicz, Kraków

ulica Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Telefon 516.

Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



---

2 korony tygodniowo płacąc nabyć można

Zęby sztuczne jakoteż płytki, koronki i mostki aluminiowe

w Zakładzie dentystyczno-technicznym Józefa Rappaporta

Lwów. ulica Jagiellońska L. 2.

Lalki Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI** W KRAKOWIE. ULICA GRODZKA L. **2**

Cenniki darmo i opłatnie

PERFUMY krajowe francuskie i angielskie

Gąbki, Grzebienie i wszelkie inne artykuły toaletowe

NOWOŚĆ: MYDŁA na wydelikatnienie cery Violettes de Nice »Nr. 810« karton 3 sztuk za Koron 2.00.

Mydła kwiatowe o silnym zapachu karton 6 sztuk Kor. 1·00. i za 1 kg. Kor. 2·00.

Mydła przetłuszczone Malinowskiego z Warszawy.

Schampoo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi.



Kule i kręgle z drzewa Lignum Sanctum

Huśtawki ogrodowe, hamaki i przyrządy gimnastyczne.

Reim i Spółka Kraków

Rynek 37 Linia A. B.

polecają po cenach najtańszych



LAWN TENNIS

RAKIETY, PIŁKI.

Bomerang i Diabolo najnowsza gra i zabawa.

Piłki nożne

Przybory do rybołowstwa.

Przybory podróżne i kąpieowe.

SYFONY i Kapsle SPARKLETS do robienia wody sodowej.



Cenniki darmo i opłatnie

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał **Gaston Leroux.**

18 (Ciąg dalszy)

Wreszcie po pewnym czasie ujrzeliśmy ojca Berniera, a raczej z początku usłyszeliśmy go, gdyż dochodziło nas niewyraźne echo jego rozmowy z Mattonim. Potem dobiegł nas z pod sklepienia jakiś szelest i ukazał się ojciec Bernier obok jakiegoś wózka. Poznaliśmy wkrótce, że jest to mała bryczka angielska, zaprzężona w Toby, konika bretańskiego. Dziedziniec był niewybrukowany i ten mały ekwipaż toczył się cicho jakby po dywanie. Bernier, ciągnąc Toby za uzdę jeszcze raz rzucił okiem w nasze okna i zatrzymał się przed drzwiami Wieży Czworobocznej, do której wszedł.

Tak upłynęło znowu kilka chwil, które wydały się nam, a zwłaszcza memu przyjacielowi całymi wiekami. Wreszcie zjawił się ojciec Bernier i skierował się z powrotem do Wieży Ogrodniczej, po nim wyszły dwie osoby i zatrzymały się na progu z pewnem wahaniem. Usłyszeliśmy wtedy cichy głos Damy w czerni: „Odwagi, Robercie, trzeba to zrobić", na co odpowiedział Darzac: „Jej mi nie brak". Pochylony był nad jakimś przedmiotem, który ciągnął i chciał potem umieścić na wózku. Jak nam się zdawało, był to długi worek, który Darzac podnosił z wielkim wysiłkiem. Oparta o mur wieży Dama w czerni, patrzyła na niego w milczeniu i dopiero, gdy mężowi jej udało się nakoniec złożyć worek na bryczce, rzekła przerażona: „On porusza się jeszcze!..." — „To już koniec!..." — odrzekł Robert, wycierając sobie czoło. Poczem włożył na siebie zarzutkę, wziął Toby za cugle i oddalił się, czyniąc jakiś znak Damie w czerni; ona pozostała przy murze. Darzac wydał się nam bardzo spokojny, wyprostował się i szedł śmiało, jak człowiek zadowolony ze spełnienia swego obowiązku. Wkrótce on znikł w ciemnościach nocy, a Dama w czerni weszła do wieży.

Chciałem wyjść już teraz z naszego ukrycia, lecz Rouletabille przytrzymał mnie energicznie i dobrze uczynił, gdyż po chwili ojciec Bernier przechodził znowu przez dziedziniec i zmierzał do Wieży Czworobocznej. Gdy już był na dwa metry tylko przed drzwiami, Rouletabille wysunął się cicho i stanął przed Bernierem przestraszonym, biorąc go za ręce.

— Proszę za mną — rzekł mu.

I ja wyszedłem z załamu. Bernier patrzył na nas niepewnie i szeptał cicho:

— To wielkie nieszczęście!

XII.

— To będzie wielkie nieszczęście, jeżeli nie powiecie nam prawdy — odrzekł Rouletabille — lecz nie będzie żadnego nieszczęścia, jeżeli nie będziecie nam nic ukrywali. Chodźmy!

Pociągnął go za rękę, a ja poszedłem za nimi. W chwili tej Rouletabille odzyskiwał siły. Obecnie, gdy odnalazł już zapach Damy w czerni, powracały mu wszystkie siły umysłu niezbędne do rozwikłania tej tajemnicy. Aż do chwili, gdy życie i śmierć przemówiły i własnemi ustami dały tłomaczenie, nie widziałem w nim ani jednego wahania, nie słyszałem ani jednego słowa, które nie odnosiłoby się wprost do czynu.

Bernier nie opierał się. Szedł przed nami z pochylonem czołem, jak oskarżony, stający przed swymi sędziami. Gdyśmy weszli do pokoju Rouletabille'a, kazaliśmy mu siąść, za ja zaświeciłem lampę.

Przyjaciel mój patrzał w milczeniu na Berniera, nakładając tytoń do fajki; starał się wyczytać z twarzy starego sługi wszystko, co można było na niej znaleść. Po kilku chwilach ciszy zupełnej odezwał się niespodzianie.

— Proszę nam powiedzieć, jak oni go zabili?

Bernier potrząsł tylko swą siwą głową.

— Przysięgłem, że nic nie powiem. Ja nic nie wiem. Naprawdę, ja nic nie wiem!...

— A więc proszę mi opowiedzieć to, czego nie wiecie. Jeżeli bowiem będziecie milczeli nawet o tem, czego nie wiecie, to ja Bernier, nie odpowiadam za nic!...

— Za co pan nie odpowiada?

— Za wasze bezpieczeństwo, Bernier!...

— Za moje bezpieczeństwo?... Ja nic nie zrobiłem.

— Za bezpieczeństwo nas wszystkich, za nasze życie! — odparł Rouletabille i przeszedł się kilka razy po pokoju, co dało mu możność namyślenia się. — A więc — mówił dalej — on był w Wieży Czworobocznej?

— Tak — kiwnął głową Bernier.

— Gdzie? w pokoju starego Boba?

— Nie — zaprzeczył ruchem Bernier.

— Ukryty w waszem mieszkaniu?

— Nie.

— Gdzie więc? Przecież nie był w pokojach państwa Darzac?

— Tak.

— Ah, ty nieszczęsny! — zawołał Rouletabille I schwycił za szyję Berniera. Podbiegłem na pomoc starcowi, by uwolnić go z rąk Rouletabille'a.

Gdy odetchnął, rzekł z wyrzutem.

— Dlaczego chciał mnie pan zadusić?

— I wy o to pytacie? Śmiecie pytać? I sami przyznajecie, że *on* był w pokoju państwa Darzac! Któż go więc tam puścił oprócz was. Wy tylko macie klucz, gdy państwa Darzac niema.

Bernier podniósł się bardzo blady.

— To pan mnie oskarża o wspólnictwo z Larsanem?

— Zabraniam wymawiać tego nazwiska! — zawołał reporter. — Wiecie, że Larsan umarł już dawno!...

— Dawno? — powtórzył ironicznie Bernier — tak to prawda, moja wina, żem o tem zapomniał. Kto jest oddanym swemu panu, walczy o niego, nie wiedząc nawet przeciw komu. Przepraszam za swą winę!

— Moi drodzy, znam was i cenię. Jesteście dzielnym człowiekiem. Nia zarzucam też wam złej wiary, lecz tylko niedbałość.

— Niedbalstwo, mnie! — i Bernier z bladego stał się purpurowym. — Niedbalstwo? Ja na krok nie ruszyłem się z korytarza. Ciągle miałem klucz przy sobie i przysięgam, że nikt nie wchodził do mieszkania po panu, gdy był pan o godzinie piątej, oprócz państwa Darzac. Nie wspominam tu tylko o drugiej bytności pana o godzinie szóstej z panem Sainclair.

— Lecz przecież nie możemy przypuścić, że to indywiduum, — zapomnieliśmy jego nazwiska, prawda Bernier? będziemy nazywali go człowiekiem — że ten człowiek został zabity u państwa Darzac, chociaż tam nie był?

— Nie! To też mogę zapewnić, że on tam był!

— A w jaki sposób tam się dostał? O to tylko pytam się. Wy jedynie możecie na to odpowiedzieć, gdyż sami tylko mieliście klucz podczas nieobecności państwa Darzac, a przy nich nie można tam było wejść i ukryć się.

— Otóż to jest tajemnica proszę pana! t to najwięcej intryguje pana Darzaca. Lecz ja mogę tylko powiedzieć, że to jest coś tajemniczego.

— Gdyśmy wyszli stamtąd po szóstej kwadrans razem z panem Darzacem, zaraz zamknęliście drzwi?

— Tak, proszę pana.

— A kiedyście znowu je otworzyli?

— Dopiero w nocy jeden raz, by wpuścić państwa Darzac. Pan Darzac dopiero co nadszedł, a pani Darzac była w salonie pana Boba, skąd poprzednio wyszedł pan Sainclair. Spotkali się w korytarzu i otworzyłem im drzwi od ich pokojów. Jak tylko weszli, usłyszałem zamykanie zasuwek.

— A więc od szóstej i kwadransu aż do tej chwili nie otwieraliście drzwi?

— Ani jednego razu.

— A gdzieście byli przez ten czas?

— Przed wejściem do swego mieszkania, strzegąc drzwi apartamentu i tam na korytarzu o pół do siódmej zjadłem obiad wraz z żoną. Po obiedzie usiadłem na progu i rozmawiając z żoną, paliłem papierosa. Byliśmy zwróceni ku drzwiom apartamentu państwa Darzac, tak iż na chwilę nawet nie moglibyśmy spuścić ich z oka. To jest coś niezwykłego! Przecież pan tam był o piątej i nikogo pan tam nie zastał, potem ja miałem klucz w kieszeni lub też siedział tam pan Darzac, który przecież zauważyłby, że wchodzi tam ten człowiek i jabym go także widział. A później? — później nastąpiła śmierć tego człowieka, co dowodzi, że on w pokoju musiał być. Ach, co za tajemnica!...

— A więc od piątej godziny aż do tej pory nie opuszczaliście korytarza?

— Nie.

— Pewni tego jesteście?

— Oh, przepraszam pana,.. tylko na chwilę, gdy mnie pan zawołał...

— Dobrze, Bernier. Chciałem wiedzieć, czy przypominacie sobie to?

— Ale to trwało minutę tylko lub dwie, a przytem pan Darzac był w pokoju.

— Skąd wiecie, że w tym czasie nie wychodził?

— Jeżeliby wychodził, toby moja żona go widziała. To wyjście tłomaczyłoby wszystko i nie byłby tak zaintrygowany ani pan Darzac, ani pani. *Ach, musiałem mu jeszcze powtarzać, że nikt inny*

nie wchodził oprócz niego o piątej godzinie, a oprócz pana o szóstej, i że nikt nie powracał tam przed jego przyjściem razem z żoną w nocy... Zupełnie jak i pan nie chciał mi wierzyć. Przysięgałem mu na zwłoki, jakie tam były, że mówię prawdę.

— Gdzie były te zwłoki?

— W jego pokoju.

— Czy był to już trup?

— Oddychał jeszcze.

— A więc nie był to trup.

— Oh, proszę pana, to prawie wszystko jedno. Proszę tylko pomyśleć, że trafiony był w serce.

Wreszcie ojciec Bernier zaczął nam mówić o zwłokach, na nieszczęście jednak mało co wiedział w tym względzie. Sprawa cała odbyła się — jak mu się zdawało — w mgnieniu oka, a przytem był on za drzwiami. Opowiadał nam, że wrócił wolno do sidbie i chciał się położyć spać, gdy nagle on i matka Bernier usłyszeli tak gwałtowny hałas, iż się tem przerazili. Był to łoskot przewracanych mebli, uderzeń w ściany. „Co się tam dzieje? — zawołała jego żona i w tej chwili dobiegł ich głos pani Darzac, która wołała: „Na pomoc!“ Ojciec Bernier pobiegł natychmiast do drzwi i zaczął krzyczeć, by mu otworzono. Wewnątrz toczyła się walka na podłodze. Słyszał przyspieszone oddychanie dwojga ludzi i rozróżnił głos Larsana, gdy mówił: „Jeszcze ten cios i będę cię miał!“ Potem pan Darzac zawołał osłabionym głosem: „Matyldo, Matyldo!“ Widocznie musiał być pod Larsanem, gdy nagle rozległ się strzał. Huk mniej przestraszył ojca Berniera niż krzyk, jaki mu towarzyszył. Można było pomyśleć, że pani Darzac została śmiertelnie raniona. Bernier nie umiał wytłomaczyć zachowania się pani Darzac. Dlaczego nie otworzyła mu drzwi? nie odsunęła zasuwki? I w jaki sposób natychmiast po strzale one się rozwarły. Pokój był pogrążony w ciemnościach, gdyż świeca zgasła podczas walki i lichtarz upadł na podłogę; pan Darzac pochylony był nad kimś, co śmiertelnie harczał. Bernier zawołał na żonę, by przyniosła światło, lecz pani Darzac nie chciała tego. „Nie, nie! nie potrzeba światła! Przedewszystkiem, żeby on nic nie wiedział!“ I w tej chwili pobiegła do drzwi, mówiąc w podnieceniu: „idzie już, idzie! słyszę go! otwórzcie drzwi! chcę go przyjąć!“ I ojciec Bernier otworzył drzwi, a ona szeptała: „idźcie stąd, aby on nic nie wiedział!“

Stary sługa opowiadał dalej:

— Pan wpadł jak huragan. Wprowadziła pana do salonu starego Boba. Pan nic nie widział. Byłem przy panu Darzacu. Człowiek na podłodze przestał jęczeć. Pan Darzac ciągle pochylony nad nim, rzekł mi: „Prędko worek i kamień i do morza; słuch o tem zaginie!“ Pomyślałem wtedy o swym worku od kartofli; żona pozbierała je, lecz ja je wysypałem znowu i worek przyniosłem. Czyniliśmy jak najmniej hałasu. Przez ten czas pani rozmawiała z panem w salonie starego Boba, a pan Sainclair rozpytywał, jak to słyszeliśmy, moją żonę. Ostrożnie wsunęliśmy zwłoki do worka, który pan Darzac mocno zawiązał. Lecz wtedy odezwałem się: „Dam jedną radę, nie należy rzucać do wody. Ona nie jest dosyć głęboka. Bywają dnie, w których morze jest tak przeźroczyste, iż widać dno“. — „Cóż więc uczynić?“ — zapytał pan Darzac. Odpowiedziałem mu: „Sam nie wiem, proszę pana. Wszystko, co mogłem uczynić dla pana i pani przeciw takiemu bandycie, jak Fryderyk Larsan, już zrobiłem. Niech pan nic więcej odemnie nie żąda i niech Bóg pana ochrania“. I wyszedłem z pokoju, a u siebie zastałem pana Sainclair. Potem pan spotkał się z panem Rouletabillem. Co zaś do mojej żony, to omal nie zemdlała, gdy zobaczyła, że pan Darzac jest powalany cały krwią. O, proszę panów, moje ręce są jeszcze czerwone. Oby tylko nie przyniosło to jakiego nieszczęścia! Zresztą spełniliśmy tylko swój obowiązek. A był to niezwykły bandyta!... A chcą panowie, bym powiedział swe zdanie?... Nie będzie można ukryć podobnej sprawy... i lepiej zaraz zawiadomić policyę... Przyrzekłem milczeć i będę milczał, o ile tylko będę mógł, cieszę się jednak, że mogłem wyspowiadać się z tego ciężaru przed panami, którzy są przyjaciółmi państwa... i panowie będą mogli przekonać państwa.. Po co ukrywać? Przecież to chwalebne zabić Larsana! Przepraszam, żem go nazwał po nazwisku... Pani Darzac obiecała mi także dużo pieniędzy za milczenie! Co ja z nimi będę robił?.. Szczęśliwy jestem, że mogę służyć pani. Lecz kiedy chce, bym milczał, dobrze!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

ZAGADKA LITERACKA.

Ułożył K. Fuchs, Czeremchów.

Wymienić po jednem dziele podanych pisarzy. Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znakomitej współczesnej powieściopisarki polskiej.

Chłodowski ?
Bliziński ?
Hajota ?
Deotyma ?
Feldmann ?
Tetmajer ?
Rzewuski ?
Zacharyasiewicz ?
Prus ?
Zapolska ?
Kraszewski ?
Gruszecki ?
Bałucki ?
Rodziewiczówna ?
Wyspiański ?

ŁAMIGŁOWKA.

Ułożył K. L. Czortków.

Z podanych liter ułożyć wypada
Szereg wyrazów o wskazanej treści,
Jako poniższy wierszyk ci powiada,
Gdzie się wskazówka rozwiązania mieści:

Chaś, e, kas. lek. li mi, mo, sieć, tor, tro, twed, u, za zwoj.

Z pierwszego rybak zyski ma nie małe
Drugie to imię męskie lecz zdrobniałe,
Trzecie wysepka, kędy Odra ginie,
Czwarte zaś rzeka, która w Szkocyi płynie,
Piąte jest czynność elektro-chemiczna,
A szóste postać jest mitologiczna.
Tych głoski skrajne wprost i wspak czytane
Dadzą uczucie w życiu dobrze znane.

SZARADA.

Ułożył K. L. Czortków.

Między pierwszą i drugą, gdy się spójnik włoży,
Będziemy mieć człowieka, którego bicz Boży
Chłostał przez wieki w dzieciach a i dotąd chłosta,
Któremu jednak w zbrodni wielu dzisiaj sprosta.
Trzecia z pierwszą, gdy razem dobrze będzie zbita,
Może na różne rzeczy być z skutkiem użyta,
Trzeciego z drugiem, zwykle tacy naśladują,
Którzy bezdenne pustki w swej kieszeni czują.
A całość sprzęt domowy, znajdziesz go w salonie,
Używany powszechnie w każdej świata stronie.

ZADANIE KONIKOWE.

Ułożył K. L. Czortków.
(Ośm wierszy poematu W. Pola).

lud	o	za	cą	do	się	do	dzi
gra	a	no	a	my	wiel	ki	gdzieś
ką	nie	ni	mek	sze	i	ro	kie
w nich	się	cą	u	nie	wiel	sce	wtom
choć	cik	cias	roz	ot	rzył	się	nie
wie	trud	nas	świe	ry	wie	gość	miej
nie	no	led	by	i	dzi	dom	sem
no	człek	tak	mu	rzył	cza	wnet	wcho

ZAGADKA.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Między bogi ja mieszkałem
Nektar z ambrozyą zjadałem,
Dzisiaj wspak mnie przeczytano
I port-miasto zbudowano.

ŁAMIGŁOWKA.

Ułożył O. W. Rapacz, Żarki.

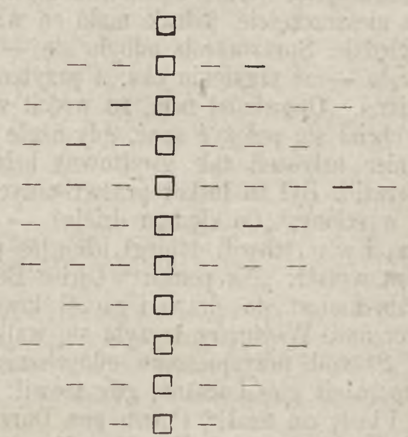
Z danych wyrazów ująć po jednej literze, by powstały nowe słowa, mające także swe znaczenie. Wydzielone litery czytane w odpowiednim porządku, utworzą znane polskie przysłowie.

Parka, kanwa, Wiar, soki, Ars, piłka, Morawa, Kanin. Ruskin, laik, oprawa, okręty, Elis, płaski. Marya.

LOGOGRYF.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Kreski i kwadraty zastąpić odpowiedniemi literami, aby utworzyły szereg wyrazów, których środkowe głoski czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko portugalskiego odkrywcy.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Komedya Arystofanesa. 3 Królewski zamek letni w okolicy Poczdamu. 4. Jeden z wodzów pruskich z wojen napoleońskich 5. Rodzaj zboczenia umysłowego. 6. Miasto w ziemi chełmińskiej. 7. Tytuł ballady Goethego. 8. Drzewo. 9 Postaci mitologiczne. 10. Powieściopisarz francuski. 11. Ryba.

ZAGADKA DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył M. K. Kęty.

Z podanych liter utworzyć znane przysłowie:
Lichwa, koc, łodzie, nie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Eugenii Żmijewskiej „Dola“, powieść z przedmową E. Orzeszkowej.